

WYDAWNICTWO KOŁA P. M. S.
IMIENIA ZOFJI BUKOWIECKIEJ.

IV.

Z KONARSKICH
ZOFJA BUKOWIECKA

ŻYCIE I PRACE

PRZEZ

JULJĘ KISIELEWSKĄ.



WARSZAWA

1923.



Sofia Bukhariccka

WYDAWNICTWO KOŁA P. M. S.
IMIENIA ZOFJI BUKOWIECKIEJ.

Z KONARSKICH
ZOFJA BUKOWIECKA

ŻYCIE I PRACE
PRZEZ
JULJĘ KISIELEWSKĄ.

WARSZAWA

1923.



92
Kis.
Z Kon.

br. 437 Brosz

Odbito w lipcu 1923 roku
u Braci Detrychów w Płocku.
Portret i facsimile wykonano
w zakładach B. Wierzbickiego i S-ki
w Warszawie.

W S T Ę P.

W rzędzie znakomitych Polaków i Polek, których żywoty podawane będą do naśladowania potomności w najdłuższe lata — miejsce niepoślednie zajmie Zofja Bukowiecka.

Poprzez dzieje trzech najwybitniejszych epok życia narodowego, przejawia się dusza kobieca niepospolita, silna, miłująca, bogata we wszystkie dary rozumu i serca, która cichą a niezmordowaną pracą całego żywota spełnia olbrzymie zadania, wnosi z sobą bezcenne wartości, przemaga zapory nieprzewyciężone, trudy ponad siły, bóle ponad miarę, dokonywa dzieła wychowawczego pierwszorzędnej wagi, a czyni to wszystko z taką prostotą, z taką skromnością, z tak szlachetnym wdziękiem i ciepłem serdecznym, że jej postać staje się wprost uosobieniem polskiego ideału kobiety-obywatelki, promieniuje mądrością, patriotyzmem i cnotą wielkiej miary.

Pani Zofja Bukowiecka w młodości przeżyła „górnie i chmurnie“ wielkie romantyczne odrodzenie przedpowstańowe, z pokoleniem ludzi jak ona kryształowych i we wszystkich dziedzinach twórczych, przeżyła poryw uniesienia i klęskę 63 roku — w wieku dojrzałym przeszła całą Gehennę niewoli i z najcierpliwszymi przepracowała lata tajnego nauczania, oświaty ludu, prześladowania unitów, lata Kroź, Wrześni, Komisji Kolonizacyjnej, lata Hurki i Apuchtina — zawsze czynna, zawsze czujna, wytrwała —

i wbrew nadziei—wierząca,—zaś u schyłku życia widziała wielką wojnę europejską i zmartwychwstającą Polskę, — spracowane i umęczone jej oczy ujrzały cud żywy, wielkie a nieoczekiwane marzenie życia: tworzenie się od podstaw państwa polskiego. Co więcej, w tej pracy twórczej uczestniczyła od jej pierwszych, najcięższych początków przez syna, którego dała i wychowała Ojczyźnie. W serce to, gorejące miłością wielką i czystą uderzały ciosy pełne tragicznego patosu, cierpienia najcięższe do zniesienia, najtrudniejsze do opanowania, w twardej szkole nieszczęścia hartował się duch, potężniało uczucie. Ale też dało jej życie wszystkie najszlachetniejsze i najwyższe radości i błogostawieństwa, jakie dać może: młodość w służbie najwyższego ideału, miłość szlachetnego człowieka, dostojne macierzyństwo, działalność piękną i użyteczną, pracę umiowaną, wielki szacunek i przyjaźń ludzką — wreszcie spełnienie wyroków sprawiedliwości Bożej na ziemi, upokorzenie złych potęg — na własne oczy oglądaną, biciem własnego serca stwierdzoną niepodległość Ojczyzny.

O takim życiu pełnem i bogatym wewnętrzną treścią, pomimo jego wielkich trosk, bólów i upracowania — byłby Solon powiedział, że jest pozazdrosczenia godne. A godne jest i warte także i bliższego poznania, zarówno dla zawartych w niem skarbów doświadczenia, prawości, wielkich wskazań moralnych, jak i dla historycznego wprost interesu: obejmuje bowiem połowę XIX stulecia i ćwierć XX-go, czasy niesłychanie ważne dla rozwoju życia narodowego i stanowi bardzo typowy przykład całkowitego zlania osobistego świata i losu z losem i dołą narodu, tak charakterystyczny dla duchów przodujących z generacji 63 roku. Ludzie, którzy przeżyli powstanie, nie wszyscy miłowali wierne te idee, nastroje i przekonania, z których ono wytrysło żywiołowym wybuchem, wielu z nich silną przeżyło reakcję i zgoła odmienne obrało drogi myśli i pracy, aniżeli te, po których kroczyli we wczesnej młodości. Prawie wszyst-

kich jednak odznaczał niesłuchanie żywy, namiętny, wyłączny stosunek do spraw publicznych,—powiedzmy do sprawy polskiej—w takim czy innem ujęciu, stosunek stanowiący i podstawę i treść życia, pochłaniający całego człowieka, wytwarzający atmosferę, w której wychowywało się, w pewnych ogniskach ruchu umysłowego — pokolenie następne. I Szujski i Matejko i Tarnowski i Asnyk i Orzeszkowa i Prus,—że choć tylko kilka wielkich nazwisk wymienimy — mają przy wielkiej rozbieżności poglądów i przekonań politycznych — tę wspólną charakterystyczną zaciekłość, to namiętne oddanie wszystkich momentów życia, ten jedyny i wyłączny punkt wyjścia dla wszelkich dążeń, dla wszelkiej pracy, to wyniesienie ponad wszystko jedynego nakazu: obywatelskiego obowiązku, obywatelskiej zasługi. Pani Zofja Bukowiecka w najwyższym stopniu posiadała ten zmysł nieustającej czynnej służby publicznej, a zarazem przechowywała, co było rzadkie w tem pokoleniu — niezmienną choć głęboko w sercu ukrytą, niezachwianą, silniejszą niż nakazy życia, bezwzględna wierność idejom, przekonaniom, hasłom i taktyce ludzi z 61 i 63 roku.

Tę samą wierność, ten sam wewnętrzny nastrój, to samo „przyświadczenie“, miewali niektórzy ludzie na emigracji, w oddaleniu od kraju, w sztucznej atmosferze tęsknoty i oczekiwań — niejednokrotnie wyradzała się ta ich niezmiennność w szlachetne, ale naiwne manjactwo. Pani Bukowiecka, żyjąc w kraju rzeczywistością i mając w naturze wiele rozsądnej bystrości, nie wpadła nigdy w emigracyjny patos, trzeźwo oceniała warunki i stosunki polityczne w kraju, liczyła się z niemi poważnie, rozumiała konieczność pracy od podstaw, jak mało kto, i umiała ją wytrwale, jak mało kto, wykonywać, ale jako głęboką, niezagojoną ranę odczuwała zawsze odwrócenie się współczesnych sobie i młodszych działaczy od ideałów powstańczych, całą siłą tłumiała wewnętrzne bunty wobec nowszych kierunków myśli politycznej, odnajdywała siebie właściwie

tylko w konspiracyjnej pracy oświatowej i w świecie dziecięcym, który kształtowała do realnego życia w rozdartej Polsce, ale jakby zapatrzona zawsze w takie objawienie polskiego ducha, jakie promienny dzień natchnienia patryjotycznego, dzień pogrzebu pięciu poległych—zostawił w jej młodem sercu na wieki.

To też — rzecz charakterystyczna — natychmiast prawie po wyjściu Rosjan z Warszawy — za okupacji niemieckiej, w czasie, gdy jeszcze od zmiennych losów wojny spodziewano się lada chwila powrotu wojsk rosyjskich — pani Bukowiecka z gorączkowym pośpiechem zamówiła płytę na grób pięciu poległych, przeznaczając na ten cel swoje oszczędności, aby w dzień Zaduszny już ten nagrobek świadczył o pamięci rodaków i aby już tam był w razie niepomyślnego obrotu wypadków. Inicjatywę tę podjęło następnie szersze koło patryjotów, zebrano składki, postawiono skromny pomnik. Zrodziły się nawet spory polityczne o manifestację, tak zdawałoby się podyktowaną samorzutnie czystem uczuciem i to wszystko ostrym bólem przeszyło serce tej, która z macierzyńską troską o ten grób niezapomniany, ale wdeptany w ziemię przez wroga — pomyślała o uczczeniu wielkiego symbolu męczeństwa i łączności wszystkich warstw narodu. Ten fakt świadczy wymownie o wiecznie żywej, świeżej, bezpośredniej pamięci pani Bukowieckiej dla zdarzeń, jakie przeżyła w młodości niesłychanie silnie. I oto teraz, w 70-tym roku jej życia przyszła druga młodość, odżyła zerwana nić tradycji, za-furkotały ułańskie chorągiewki, wnukowie i siostrzeńcy do kolan ukochanej babki schylali się po krzyżyk błogosławieństwa z tych rąk, co niegdyś tym znakiem żegnały idących w bój powstańców. Oczy jej z radością, ze wzruszeniem, ale i z najgłębszym lękiem ogarniając dorodne postacie w mundurach wojska polskiego, odbijały na przemian blaski wymarzonego szczęścia—to znowu obawy naj-srozsze przed chwiejnością losu i powtórne załamaniem

śmiałyh nadziei w tragicznym splocie dziejowych zdarzeń. Jednakże nadzieja była w niej tak żywa i gorąca, tak przygotowana do oglądania najbardziej niespodziewanych a upragnionych wypadków, wola tak silnie skupiona do ofiarne-go czynu w każdym momencie okropnych zmagañ wojny i polityki z żywym organizmem narodu, że ponad śmiertelną trwogę nowego zawodu—wydobywał się z duszy silny głos wiary w ostateczne zwycięstwo i na całe otoczenie promieniowała wewnętrzna radość rozkwitającego w całej pełni entuzjazmu.

W miarę postępowania akcji i coraz wyraźniejszego krystalizowania się marzeń w najistotniejszą rzeczywistość, radosny zachwył pani Bukowieckiej rósł i potężniał, stał się hymnem i modlitwą dziękczynną, jednym uniesieniem płonącego serca, pieśnią nad pieśniami. Chciała się nacieszyć za całe stroskane i upracowane swe życie w służbie tej oto zmartwychwstającej ojczyzny, — nacieszyć za wszystkie pokolenia pozbawione widoku tego cudownego zdarzenia — i za wszystkie współczesne — nieumiejące patrzeć i dziwić się i radować, przyduszone i zgaszzone własną nieporadnością, czy zgryzotami dnia powszedniego, czy nawykem zbyt długim do tragicznego pesymizmu. Nie mogła przeboleć, że ludzie w Polsce tak mało zdają sobie sprawę ze swego szczęścia, z nieopisanego szczęścia jakim jest — przejście z niewoli do niepodległego bytu, — że tak gorzko i cierpko, skołataną myślą, utrapionem sercem je witają, tak skąpo się radują, tak ubogo i chłodno przyjmują. Mimo wszystkich niebezpieczeństw, z jakimi zmagać się musiała Rzeczpospolita u progu swego państwowego bytu, pomimo trudów i niedostatków pracy organizacyjnej, pomimo ciężkich przejść i rozczarowań wewnętrznych — zaistniał przecież fakt, który doniosłością swoją przerasta wszystko, cokolwiekby się dało pomyśleć o sprawie polskiej przed wojną. Już samo zrozumienie i wyczerpanie do dna treści tego faktu i jego epokowego znacze-

nia powinno było wzbudzić nastrój wybuchającego żywiołowo entuzjazmu narodowego, takiego, jaki w samej rzeczy opanował dzieci i młodzież, w pamiętnych dniach rozbrojenia Niemców — oswobodzenia Lwowa — wkroczenia wojsk polskich do Wilna, w 1918 i 1919 roku. Tej młodzieży uczucia podzielała bezpośrednio pani Bukowiecka, ten sam był rytm jej serca, to samo żywo bijące tętno patriotycznego uniesienia. Młodość przynosi ze sobą w darze tę moc odczuwania i skłonność do szlachetnych upojeń, — ale zachować do 70-go roku życia te cechy młodzieńcze duszy, w tak silnym stopniu — na to, jak na wielką łaskę, trzeba sobie umieć zasłużyć.



I.

Zofja z Konarskich Bukowiecka urodziła się 28 kwietnia 1844 roku, we wsi Brzozowej, w powiecie opatowskim. Ojciec jej, Konstanty i matka, Aleksadra z Jasieńskich posiadali dwa majątki: Brzozową i Malice. Rodzina Konarskich, herbu Gryff, przybyła w Sandomierskie z Litwy, a mianowicie stryj męczennika narodowego, Szymona Konarskiego, Rafał, osiedlił się w sandomierskiem. Był on pradziadem Zofji i jej liczego rodzeństwa. Rodzina Konarskich była kalwińska, ojciec Zofji na łożu śmierci przyjął katolicyzm, ale dzieci wszystkie były chrzczone odrazu w kościele katolickim. Rodzina Jasieńskich, z której pochodziła matka Zofji była z dawna osiadła w Sandomierskiem. Obaj dziadowie matki — ojczysty — Mikołaj Jasieński i macierzysty Kazimierz Karski posłowali na sejm Czteroletni. Jednak w epoce urodzenia i dzieciństwa Zofji rodzina jej niczem się nie wyróżniała na tle ogólnem życia zamożniejszego ziemianstwa. Rodzice Zofji mieli ośmioro dzieci: pięć córek i trzech synów; Zofja była czwartą z rzędu po starszeństwie z rodzeństwa, z pomiędzy którego wybitne stanowisko zajął w społeczeństwie brat jej młodszy, urodzony w 1850 roku, Szymon Konarski, pisarz ludowy i działacz społeczny, zmarły 1918 roku. W dwa lata po urodzeniu się Zofji, przenieśli się państwo Konarscy do Malic, drugiego majątku swego, położonego malowniczo nad Opatówką, gdzie Zofja spędziła dzieciństwo, pod opieką troskliwą matki. Długo przechowała się żywa w okolicy tradycja niepospolitych cnót i zalet serca pani Konarskiej,

której stosunek do ludu serdeczne zostawił wspomnienie.

W roku 1855 zmarła ta zacna matka, a sieroty, zdane na opiekę ojca, mało znającego się na wychowaniu, kształciły się w domu pod kierunkiem nauczycielek, które niejlepszą pamięć zaskarbiły sobie w wspomnieniach pani Zofji. Natomiast dozgonną wdzięczność zachowała dla bony, Balbiny Żebrowskiej, która przez lat 40 była w tej rodzinie, a oddana całem sercem osieroconym dzieciom, pomimo braku większego wykształcenia, umiała otoczyć je prawdziwie macierzyńską troskliwością.

W roku 1857, pan Konarski sprzedał Malice i przeniósł się do Wilczyc w tejsze okolicy, a stamtąd, w 2 lata później, do Sandomierza, gdzie miał posiadłość pod miastem. Około roku 1858 zaczyna się w kraju, wśród obywateli ziemskich żywy ruch pałriotyczny, który objawia się zarówno w dziedzinie pracy zawodowej, jako dążenie do ulepszenia gospodarstwa, jak i w dziedzinie reform społecznych. Najważniejszym wówczas zagadnieniem stały się projekty zniesienia pańszczyzny, czy to w formie oczyszczowania, czy też wykupu, a więc zupełnego uwłaszczenia włościan. Łączyło się z temi projektami dążenie do podniesienia gospodarstw włościańskich i do szerzenia oświaty wśród ludu.

Hasła wyszły ze zjazdów, na które pan Andrzej Zamojski zapraszał obywateli z różnych stron kraju do majątku swego, Klemensowa, w lubelskiem, aby wszędzie rozniecać iskry zapалу i szerzyć ideje postępowe, budzić szlachtę z uśpienia, w jakim cały naród spoczywał od roku 48-mego. Założone w roku 1858 Towarzystwo Rolnicze z siedzibą w Warszawie, stało się niebawem głównem ogniskiem tego ruchu. „Roczniki Gospodarstwa Krajowego“ pod redakcją Tomasza Potockiego, ze współudziałem Ludwika Górskiego, Adama Golca i wielu innych światłych ziemian, roztrząsają zagadnienia uwłaszczenia i najmu służby folwarcznej, zarówno ze stanowiska postępu rolnictwa, jak

i sprawiedliwości społecznej. W Paryżu około Hotelu Lambert, podówczas jeszcze sędziwego Adama Czartoryskiego, skupiał się obóz konserwatywny, którego organem były „Wiadomości polskie“ prowadzone przez wybitnie zdolnych młodych pisarzy: Klaczkę i Kalinkę w duchu odrodzenia katolickiego, wskazującego jako ideał pracę społeczną na tle pogłębionej religijności.

Wszystkie te wpływy przedostawały się w Sandomierskie bardzo silnie zapomocą ludzi, biorących udział w życiu narodowym i oddziaływały na Zofję Konarską w okresie jej najwcześniejszej młodości. Szczególniej wzięta do serca hasło oświaty ludu, które mogła osobiście w czyn wprowadzić. Jeszcze w Wilczycach, a więc nie mając ukończonych lat 15-tu używała różnych sposobów namowy, zachęty, upominków, aby nakłonić matki do posyłania dzieci na naukę do dworu. Uczyła z ogromnem zamięłowaniem i wytrwałością. Kształcenie dzieci ludu stało się jej prawdziwem powołaniem, któremu wierną była przez lat 60, można powiedzieć do ostatniego tchnienia. Przez cały przeciąg życia, gdziekolwiek się znajdowała, uczyła biedne dzieci, czyniła to też w późnej starości i jeszcze na dziewięć dni przed śmiercią miała lekcję z synkiem służącego. Robiła to zawsze, nie tylko dlatego, że uważała to za największą potrzebę narodową, ale dlatego, że z prawdziwem zamięłowaniem, można powiedzieć „z pasją“ uczyła. To zamięłowanie odnosiło się do nauki elementarnej: pisanie i czytanie, do nauki dziejów ojczystych, które opowiadała ślicznie i zajmująco, oraz do pogadanek ogólnych, rozwijających umysł i serce. Można powiedzieć, że największą jej przyjemnością i rozkoszą była rozmowa z młodymi w celu ich udoskonalania, rozbudzenia zamięłowań do nauki i pracy, rozwinięcia poczucia moralnego, patriotyzmu i obowiązków obywatelskich. Z tego właśnie względu może służyć za przykład młodemu pokoleniu nauczycielek i działaczek oświatowych.

Jakąż odebrała edukację, która była podstawą jej późniejszej pracy pisarskiej? Uskarżała się nieraz, że wykształcenie domowe, pobierane od guwernantek, niewiele dało jej gruntownych wiadomości.

Nauczyła się jednak czytać ze zrozumieniem i myśleć, a to są rzeczy najważniejsze. Posiadając te dwa zasadnicze środki, zdobyła sobie przez rozległe odczytanie i wytrwałą pracę umysłową—wcale nieprzeciętne wykształcenie historyczne i literackie, zawładnęła biegle językami francuskim i niemieckim, tak, że mogła tłumaczyć książki, oczywiście czytać wszystko i swobodnie rozmawiać temi językami. To znowu przykład do jakich rezultatów dojść można przy silnej woli, własną pracą w kierunku samokształcenia. Ciekawość silnie rozbudzona do czytania do-brych książek, do słuchania rozmów mądrych ludzi, do brania udziału w życiu umysłowym społeczeństwa, dążność do przyswojenia sobie własną pracą poważnej i głębokiej wiedzy -- przez czytanie i obserwację -- to są, w gruncie rzeczy, jedyne środki, jakimi każdy człowiek zdobywa prawdziwe wykształcenie, czy to się dzieje na uniwersytecie przy pomocy profesora i książek, czy drogą samouctwa—także najczęściej z pomocą mądrych ludzi i książek. Bibliotekę bogatą książek polskich i francuskich znalazła Zofja Konarska w sąsiednim domu ziemiańskim u państwa Hemplów, gdzie były bardzo żywe tradycje rodzinne wojen napoleońskich. Prawdopodobnie wpływ tego domu, tchnącego historycznością i wpływ tej biblioteki wychodowały te zamięłowania, które uczyniły z pani Bukowieckiej pisarkę o talencie, przepojonym kulturą łacińską, oraz tradycją dziejów ojczystych. Dom państwa Hemplów wyróżniał się z pośród otaczających dworów wyższą miarą życia umysłowego; młody Hempel, przebywając kilka lat na studjach w Belgji i w Paryżu nawiązał ścisłe stosunki z redakcją „Wiadomości polskich“ (Klaczka i Kalinką) i należał do bliższego otoczenia znakomitego pisarza fran-

cuskiego Montalemberta. Tą więc drogą, za pośrednictwem rówieśnika i serdecznego przyjaciela młodych lat, dostała się Zofja Konarska w krąg wpływów, których ogniskiem na emigracji był „Hotel Lambert“ książąt Czartoryskich.

Jednakże, o ile pod względem umysłowym dom państwa Hemplów przewyższał okoliczne dwory i mógł młodej dziewczynie, chciwej wiedzy, dawać wiele, to pod względem zapatrywań społecznych, stał na gruncie bardzo zachowawczym, odrzucając z oburzeniem nowe hasła demokratów, dążących do załatwienia sprawy włościańskiej i rzeczywistego zrównania stanów. Uważano tam zniesienie pańszczyzny za podważenie patryarchalnego stosunku wsi i dworu, za rzecz szkodliwą i niemoralną. A nawet w tak zapadłym kącie, jak Sandomierskie, zaczynały się już budzić inne myśli i przekonania. Młodsze ziemiaństwo podzielało przeważnie umiarkowane zasady pana Andrzeja Zamojskiego, dążącego do dobrowolnej zamiany pańszczyzny na czynsze, zaś młodzież akademicka z Kijowa, z Petersburga, młodzi literaci z Warszawy głosili hasła dalej idące, które się przedostawały do cichych dworków i miasteczek. W ciągu dwóch lat poprzedzających powstanie ścierały się opinie, co do sposobu załatwienia sprawy włościańskiej, która bardzo żywo i gorąco zajmowała wszystkie umysły. W tym samym czasie wśród młodzieży, prącej do powstania, poczęły się tworzyć tajne organizacje, z których następnie wyłonił się Komitet Centralny Narodowy.

Z natury swego usposobienia, idącego w kierunku umiarkowanego postępu, z potrzeby serca gorąco miłującego słabszych i uciśnionych chyliła się Zofja Konarska ku prądom demokratycznym, których wymownym przedstawicielem stał się w tej okolicy delegat Komitetu centralnego, Ignacy Maciejowski, późniejszy znany powieściopisarz, Sewer. Z tym młodzieńcem o bujnej imaginacji i gorącym sercu—zaprzyjaźniła się w krótkce młoda patrijotka i chciwie

wchłaniała idee, głoszące równość stanów, konieczność ofiar i podbudzające nastrój gorący religijnego uniesienia patryjotycznego. Wpływy „czerwone” Maciejowskiego przeciwstawiały się w umyśle panny Zofji poglądom „białym” Hempla, równoważyły je, a z biegiem wypadków rozwijały się coraz silniej, aż ją ogarnęły zupełnie. Nie były one jednak z najbardziej krańcowych, ale miały ten silny wyraz gorącego uczucia i szczerego idealizmu, jaki w owych latach osobliwych ogarnął kraj cały, dając niekiedy przypadkowo zebrany tłumom godność i siłę bohaterską, a namaszczenie wielkiego posłannictwa. „Patrzyły na to oczy moje”, pisze Zofja Bukowiecka w „Małej historii Polski” dla ludu, „sumiennie więc wam powiedzieć mogę bracia kochani, że zaniósł się wtedy w Polsce na taką wiosnę, która da chleb i sprawiedliwość każdemu”.

Zakładano szkoły po wsiach, urządzano wystawy rolnicze włościańskie, dawano nagrody za wzorową służbę, pisano książki i wydawano gazety dla ludu.

Co zaś najważniejsza, zjechała się szlachta do Warszawy, zawiązała między sobą zgromadzenie, czyli „Towarzystwo Rolnicze” i podała prośbę do cesarza Aleksandra o zniesienie pańszczyzny i o konstytucję, to jest o takie prawa obywatelskie dla narodu, jakie już uzyskały inne kraje w Europie. „Towarzystwo Rolnicze” słusznie żądało naprawy porządku w Polsce, tymczasem odpowiedziano mu nahajką i karabinem”.

Tak, w popularny sposób, przedstawiła p. Bukowiecka w wiele lat po tych pamiętnych wypadkach zachowane w żywym wspomnieniu dzieje, które w młodości chciwie poila gorące swe serce. Wyobraźmy sobie, jakie to wstrząsające było wrażenie w cichym dworze sandomierskim, gdy delegaci, wracając do domu z lutowego zjazdu Tow. Roln. w Warszawie w barwnym opowiadaniu, wobec zebranych kobiet, kreślili przebieg posiedzenia 27 lutego, jak to do sali wpadł Rulikowski wołając: „wy tu panowie radzicie,

a tam przed Bernardynami krew się leje na ulicy“ jak wszyscy wylegli na Krakowskie od Leszna, a w chwilę potem usłyszano twardy rozkaz komendy, trzask karabinów, salwę — jęki rannych, krzyk przerażenia w tłumie, a wśród najokropniejszego zamętu rozdrażniony lud nie ustępował — i groźną przybrawszy postawę, w obecności wojska — zbierał swych rannych, oraz pięciu poległych, których ciała zniesiono do sali w Europejskim hotelu i wystawiono na widok publiczny. Zanim rozpoznano zabitych, zanim zebrano wiadomości o rannych, ileż matek, iluż krewnych z szalonym niepokojem szukało swoich najbliższych, jakże silnem uczuciem grozy, krzywdy i nienawiści wstrząsnęło się całe miasto i całe społeczeństwo! Te same uczucia i wrażenia przeżywała prowincja i wieś, gdy delegaci Tow. Rolniczego wrócili z pogrzebu pięciu poległych. Nawet ci, co nie byli owego pamiętnego dnia w Warszawie, tak znali wszystkie szczegóły, tak przeżyli silnie wrażenia podniosłej chwili, że na całe życie zostało im wspomnienie jak gdyby udziału osobistego w tej wspaniałej manifestacji patriotycznej. Od tej chwili zaczęły się w całym kraju, po wszystkich miastach i miasteczkach, podobne do warszawskich manifestacje. Cechy rzemieślnicze: krawców, rzeźników, szewców, szczotkarzy i innych, grupy młodzieży zapraszały raz po raz rodaków na nabożeństwa żałobne, czy to za dusze wieszczów i bohaterów narodowych, czy też za dusze ofiar przemocy. Młodzież szkolna zaznajamiała się i bratała z młodzieżą rzemieślniczą, zawiązywały się tajne kółka patriotyczne, przyjeżdżali na wieś i do miasteczek wysłańcy kółek ze stolicy dla budzenia ducha. Oprócz urządzania nabożeństw patriotycznych i śpiewania pieśni, zaczęto także w inny sposób objawiać uczucia buntu. Wrzały umysły młodych, paliły się serca, różne sprawy polityczne wywoływały żywą wymianę zdań, zjeżdżano się na narady, ale najwięcej zainteresowania budziła sprawa uwolnienia włościan od pańszczyzny i nadania im ziemi.

Trzeba było wybierać z pośród ścierających się ze sobą kierunków myśli politycznych. Margrabia Wielopolski począł urzeczywistniać swój program polityki ugodowej i stwarzać polską szkołę, uniwersytet, władze administracyjne. Mimo tak znacznych ustępstw ze strony rządu rosyjskiego, nie zdołał jednak Wielopolski pociągnąć społeczeństwa, był prawie odosobniony, nie miał się na kim w kraju oprzeć. Stronnictwo „Białych“, wyznające idee pana Andrzeja Zamojskiego odrzucało zarówno myśl ugody z rządem, jak i program zbrojnego powstania, głoszony przez „Czerwonych“. Godziło się tylko na bierny opór i manifestacje narodowe, które miały Europie okazać duchowy protest przeciw niewoli. Dla „Czerwonych“ manifestacje religijno-narodowe miały inne znaczenie. Stanowiły one jeden ze środków agitacyjnych dla wciągnięcia szerokich mas ludowych do walki czynnej z wrogiem.

Pomimo innych celów—oba stronnictwa zarówno „Białych“ jak „Czerwonych“ popierały gorąco urządzenie nabożeństw patriotycznych, przełamywanie rozkazów rządowych, noszenie ogólnej żałoby narodowej, a zwłaszcza uroczyste obchody pamiętnych rocznic dziejowych.

Przykład Włoch, które w tym czasie zdobyły z bronią w rękę niepodległość zapalał w młodych chęć walki. Hasła braterstwa ludów, złączonych niegdyś jagiellońską ideą i długim współżyciem w wolnej Rzeczypospolitej bardzo silnie zadrgały w sercach. Stworzono herb z orła, pogoni i anioła, na znak miłości Polski, Litwy i Rusi. Zadźwięczały żywo hasła równości wszystkich stanów, sprawiedliwości społecznej, wolności wszystkich uciśnionych ludów. Odwieczna miłość Polski z Litwą znalazła wyraz w przepięknym obchodzie „unji lubelskiej“, który święcono w Kownie w sierpniu 1861 roku, przy udziale tłumów prostego ludu polskiego i litewskiego, który nie zważając na kozackie nahajki z pieśnią na ustach, mimo

zerwanego mostu na Niemnie, zdołał połączyć się w uroczystej procesji z obu brzegów rzeki.

Podobną uroczystość zapowiedziano do Horodła nad Bugiem, w październiku, na pamiątkę „unji horodelskiej“. Ze wszystkich stron kraju, a więc i z sandomierskiego wysyłano na ten zjazd delegatów różnych stanów. Ciągnęły powozy, bryczki i wózki; olbrzymia pielgrzymka, jak obóz ruchomy dążyła w stronę Horodła. Miano odczytać przysięgę wierności duchowych związków pomiędzy Polską, Litwą i Rusią. Ten zjazd imponujący — przeraził Moskali, posłali wojsko do rozpędzenia manifestacji, ale postępowali ostrożnie, aby uniknąć strasznego krwi rozlewu w tych tłumach, co mogłoby dać początek do zbrojnej walki. Do Horodła pielgrzymki nie wpuszczono, msza polowa i uroczysta przysięga odbyła się na obszernych ścierniskach w odległości od miasta, widniejącego na horyzoncie. Uczestnicy patriotycznej pielgrzymki rozjechali się w spokoju do domów. Ale już w kilka dni później, Warszawa stała się widownią krwawych gwałtów. W rocznicę śmierci Kościuszki, 15 października, wojsko otoczyło kościoły, przepelnione rozmodlonym ludem, aby zaaresztować znajdującą się tam młodzież. Lud dniem i nocą trwał w kościele, śpiew nie ustawał. Wreszcie wojsko wtargnęło do świątyń, tłukąc kolbami, mordując niewinnych. Było to wkrótce po śmierci arcybiskupa Fijałkowskiego, który jeszcze przed samym zgonem umacniał duchowieństwo w oporze przeciw Moskalom, zalecając opiekę nad prześladowanym narodem. Kościoły splamione krwią, zdobywane przemocą przez żołnierzy, zostały w ponurem milczeniu przez duchowieństwo zamknięte, odtąd zamilkły dzwony — ustały nabożeństwa w stolicy. Ten dowód oporu, pełnego powagi, zrobił na Moskalach ogromne wrażenie. W kraju zapanowała żałoba, w czasie której „czerwoni“ przygotowywali się do zbrojnego czynu, pragnąc doczekać się w tym celu jakiej wojny w Europie. Niestety — wojny nie doczekano. Powstanie

wybuchło przedwcześnie, wskutek zarządzeń Wielopolskiego, zmierzających do udaremnienia ruchu zbrojnego. Młodzi, zagrożona „branką“ do wojska rosyjskiego uciekła w lasy, Komitet centralny musiał ją ratować. Jako Tymczasowy Rząd Narodowy ogłosił dnia 22 stycznia odezwę do Narodu, wzywającą do powstania i zapowiedział uwłaszczenie włościan.

II.

Wszystkie te momenty dziejowe przeżywała gorąco Zofja Konarska, dorosła już panna, o rozbudzonej inteligencji i płomiennym patriotyzmie. Zrazu przebywała w domu rodzicielskim, następnie u panien Benedyktyn w Sandomierzu, gdzie pan Konarski umieścił swe niezamężne córki w czasie powstania, jakoby dla większego bezpieczeństwa, wreszcie u starszej siostry swej, Piaseckiej, w Tułkowicach, niedaleko granicy galicyjskiej. Sandomierskie, od wybuchu powstania aż do końca kwietnia 1864 roku, było siedliskiem najżywszego ruchu powstańczego; tutaj w samym początku najlepiej zorganizowane oddziały skupiły się w wąchockim obozie Langiewicza, tu działał w sposób gwałtowny i stanowczy stary wojak z 31 roku, Dyonizy Czachowski, tu wreszcie, na wezwanie Traugutta do wytrwania, w zimie i na wiosnę 64 roku, trzymał się jeszcze i umiejętnie przeprowadzał porządkowanie wojska—znakomity organizator, generał Bosak Hauke. Te nazwiska, które sławą swej partyzantki napełniły okolicę—w wspomnieniach Zofji wiązały się z najbardziej wstrząsającymi wydarzeniami w życiu. Młodość, „co wykuwa żywot cały“, była tu rzeźbiarką pięknej duszy, „cios jej dłuta wiecznotrwały“ zostawił ślady niezatarte, do ostatnich dni, na charakterze znakomitej Polki.

Wyobraźmy sobie te panienki, jak z grottgerowskich rysunków, w czarnych sukienkach, z białemi mankietami i kołnierzykiem, z krzyżykiem z lawy na czarnej aksamitce, jak pracowitemi rączkami szyją bieliznę dla wąchockiego obozu, chorągiewki dla ułanów, czapki z barankiem; przygotowują ze starego płótna masy szarpi, używanych wówczas do opatrywania ran. Wre praca w miasteczku, biją serduszka. Niepokój, przerażenie, to radość i nadzieje najlepsze, opanowują na przemian umysły, stosownie do nadchodzących wieści z obozu i pola walki — tak blizkiego, wieści, zmieniające się niemal co godzinę. Oto 22 stycznia — oddział Langiewicza zdobywa nocą miasteczko Szydłowiec, a już na drugi dzień rano Moskałe, opamiętawszy się przy świetle dziennem i ściągawszy posiłki, napowrót wypierają stamtąd powstańców, którzy cofają się do Wąchocka. Ponure obrazy pastwienia się nad mieszkańcami i rabunku nieszczęsnego miasteczka dochodzą do uszu Sandomierzan bezpośrednio po radosnej wieści o nocnem zwycięstwie Langiewicza. Ale z Wąchocka wieści dobre. U stóp starożytnego klasztoru Cystersów oddział powiększa się codzień, odbywa mustrę, organizuje się i ćwiczy. Wódza otacza sztab zdolnych oficerów, rozkazyienne wychodzą z drukarni sztabowej, pierwszy z datą 26 stycznia: „Główna kwatera w Wąchocku“. Przygotowano lazaret polowy, którego urządzeniem zajął się dr. Ludwik Bukowiecki z Poznańskiego. Przybył jako partyzant do obozu, postanowiono zużytkować jego fachową umiejętność i oddano mu komendę nad kilku felczerami. Koło Bodzentyna i Suchodniowa działał Czachowski. Już od początku lutego Langiewicz i Czachowski musieli się bronić przeważającej sile Rosjan, wysłanych pod dowództwem generała Marka dla zniszczenia powstania w sandomierskiem. Do Sandomierza wkroczyła partja powstańców pod dowództwem barona Rajskego, witana z najgorętszym entuzjazmem. Odtąd już codzienne były wieści z głównego placu boju:

Wąchock i Suchedniów uległy temu samemu straszemu losowi co Szydłowiec, ale bitwa pod Parszowem, choć zakończona niepomyślnie odwrotem na Bodzentyn, wykazała męstwo i dzielność żołnierza, tak niedawno dopiero oderwanego od książki, lub rzemiosła. Langiewicz zajął klasztor świętokrzyski i tam trzymał się przez tydzień, ściągając do obozu nowe siły dla zapelnienia dotkliwych strat, poniesionych przez oddział z powodu chorób i niewygód. Zaatakowany przez pułkownika Czengerego bronił się świetnie w klasztorze, zmuszając Moskali do odwrotu. Niestety Czengiery otrzymał znaczne posiłki i podstąpił znowu pod górę świętokrzyską. Ale powstańców już tam nie zastał. Ostrzeżony o działaniach wroga, zdołał Langiewicz w nocy wyprowadzić swój oddział i szedł w stronę granicy galicyjskiej, zajmując po drodze Staszów. W tym samym momencie, gdy w Sandomierzu obrona Świętego Krzyża wzbudzała podziw i otuchę, radością przepełniając serca, z innej strony spadł cios niespodziewany przejmując grozą i lękiem, wobec dotkliwej klęski i bezpośredniego niebezpieczeństwa dla mieszkańców miasteczka. Świeży przykład Wąchocka i Suchedniowa mroził krew w żyłach. Oto z lubelskiego ciągnęła partja „puławiaków“, studentów szkoły politechnicznej. Wszystko chłopcy na schwał, nadzieja narodu, po wyszkoleniu mogliby stanowić doskonały materiał oficerski. Dążyli z Kazimierza nad Wisłą, aby się przedrzeć przez okalające oddziały rosyjskie do Langiewicza. Zajęli po drodze Zawichost, ale musieli go szybko opuścić przed nadciągającym w znacznej sile wrogiem i śpiesznie uchodzili w stronę Sandomierza. Pod Dwikożami, gdy stanęli na wypoczynek, forsownym znużeni marszem, obskoczeni zostali przez wojsko rosyjskie. Dzielnie broniła się młodzież, kilkakrotnie idąc z kosami do ataku. Leon Frankowski, jeden z najbardziej ukochanych przez młodzież przywódców ideowych powstania, otrzymał ciężką ranę. Uniesiono go do szpitala w Sandomierzu. Całemu

oddziałowi groziła zupełna zguba. Wtedy to, strzelcy, najprzedniejsza młodzież puławska, postanowili się poświęcić, osłaniając odwrót oddziału ku Sandomierzowi. Zajęli obronną pozycję i przez kilka godzin, w bohaterskim wysiłku zatrzymywali wroga, aż dopóki wszyscy, jak towarzysze Leonidasa pod Termopilami nie legli w nierównej walce.

W Dwikozach mieszkali wówczas siostra i szwagier Zofji Konarskiej, wszystkie zatem szczegóły tej bohaterskiej walki znała najdokładniej i we wspomnieniach jej z 63 roku było to jedno z najsilniejszych, najbardziej wstrząsających.

Co się działo w Sandomierzu — opisać trudno — rozpacz — popłoch — strach przed okrutną zemstą wroga. Partja Rajskiego wraz z niedobitkami oddziału puławiaków nie stanowiła dostatecznej siły do obrony miasta. Opuszczając Sandomierz — podążyli połączyć się pod Staszowem z Langiewiczem. Lżej rannych zabrali z sobą, Frankowski został w sandomierskim szpitalu, miano go nazajutrz wywieść do Galicji. Ale zapóźno. W trop za uchodzącymi powstańcami wkroczyli do miasta Moskale, których przez kilka godzin wstrzymał opór bohaterskich strzelców. Zmęczeni całodzienną bitwą nie ścigali już partji Rajskiego, zajęli w mieście kwatery i tym razem — oszczędzili mieszkańców. Zagarnęli jedynie szpitale i poznawszy Frankowskiego zabrali wraz z kilkudziesięciu rannymi jeńcami do Lublina, gdzie go w kilka miesięcy później powieszono. Po cofnięciu się powstańców i wyjściu Moskali Sandomierz znowu opustoszał. Było to w połowie lutego. Mieszkańcy wrócili do codziennych zajęć, oraz tajnej pracy dla wojska, nad słuchując wieści z Krakowskiego i z pod Staszowa. Echa klęski Kurowskiego przy ataku na Miechów — bitwa Langiewicza i Jeziorańskiego pod Małogoszczą, mimo przegranej — jedna z najświetniejszych w powstaniu, dalej pochód oddziału ku Pieskowej Skale i Goszczy — ogłoszenie dyktatury Langiewicza — zwycięska bitwa pod Grochowskimi — wreszcie przesunięcie oddziału ku granicy austriackiej

i nieszczęsna przeprawa dyktatora przez Wisłę — wszystko to w najbliższej okolicy — wstrząsało do głębi sercem i umysłem młodej dziewczyny. W całym kraju powstanie podobne przechodziło koleje. Pomimo tego, walka trwała uparcie, gdyż przedłużający się opór powstańców miał przekonać Europę, że cały naród polski nie chce dłużej znosić niewoli. Oczekiwano pomocy od państw zachodnich, szczególnie od Francji, gdzie cesarz Napoleon III dawał księciu Władysławowi Czartoryskiemu pewne obietnice i zachęcał do wytrwania. Po wielu zmianach w składzie Rządu Narodowego — na jesieni 63 roku — dyktaturę objął naczelnik powstania na Polesiu, Romuald Traugutt, człowiek spokojny, rozumny, wielkiego charakteru i silnej woli. Postanowił on z małych oddziałów, błakających się po lasach, bez łączności z sobą — stworzyć wojsko, podległe kilku dowódcom. Na Sandomierskie wyznaczony został generał Bosak-Hauke, synowiec owego ministra wojny Haukego, który 1831 r. poległ w noc listopadową od kuli belwederczyków, gdy im odradzał powstanie. Synowiec ministra, zabrany do Petersburga, obdarzony łaskami dworu carskiego, wychowywał się w korpusie paziów i akademji wojskowej, a następnie służył w armji rosyjskiej na Kaukazie, już w stopniu pułkownika i ucierał się tam, w górach, z powstańcami gruzińskimi. Na wieść o powstaniu w Polsce obudził się w nim jakiś dziwny instynkt z lat dziecięcych — poczuł, że jest Polakiem i za polską sprawę postanowił walczyć Traugutt, który sam także całą młodość przebył w Petersburgu, a potem w wojsku rosyjskiem, przyjął usługi hrabiego Józefa Haukego, który jako generał Bosak miał objąć dowództwo województwa krakowskiego i sandomierskiego. Dnia 18 października, pod Dzierżgowem, zrobił przegląd swoich oddziałów, na czele których znaleźli się wyprobowani partyzanci: Zygmunt Chmieleński, jako szef sztabu, Markowski dowódca jazdy w partji Czachowskiego, jako wojewoda sandomierski, dzielny czachowszczyk, Emi-

nowicz i kilku innych. Ożywiły się walki powstańcze w tych stronach przez październik i listopad. Otoczony przez Moskali pod Jaworem soleckim zginął dzielny Czachowski, po którym sposoby walki, surowość i sławę świetnego partyzanta odziedziczył Chmieleński. On to, wraz z jenerałem Bosakiem, w listopadzie i grudniu zdołali się z 3000 oddziałem piechoty i 600 jazdy — opierać 30-tysięcznej armji rosyjskiej i odnosić zwycięstwa w całym szeregu krwawych potyczek, z których najświetniejsze były pod Chmielnikiem i Opatowem, oraz bitwa pod Szczekocinami. Teraz już postanowili Rosjanie jaknajwiększe zgromadzić siły dla ostatecznego zgniecenia tej niebezpiecznej partji. Wreszcie, 16 grudnia, przeważającemi siłami otoczyli Bosaka i Chmieleńskiego pod Bodzechowem, niedaleko Opatowa i tam, osłaniając odwrót oddziału — Chmieleński ranny, dostał się do niewoli. W kilka dni później rozstrzelany został w Radomiu. Była to ogromna strata dla jenerała Bosaka, któremu Traugutt powierzył teraz zorganizowanie korpusu w województwach południowych. Wśród zimy, strasznie tego roku mroźnej, wobec rozbitcia oddziałów i zniechęcenia powstańców daremnymi bojami — zadanie wprost przechodzące siły — a jednak dzięki umiejętności i sprężystości jenerała Bosaka, II-gi korpus został zorganizowany. Podzielony na dywizje: krakowską i sandomierską, z pułkami pod dowództwem doświadczonych partyzantów, jako ostateczny wysiłek dowództwa w dogasającym powstaniu — świadczył o energii i zdolnościach swego twórcy. Przez styczeń, luty i marzec 64 roku trzymały się oddziały z korpusu jenerała Bosaka w sandomierskiem i krakowskiem, otoczone życzliwością ludu wiejskiego, którego zaufanie umiał sobie zdobyć „polski jenerał“. Było w tych czasach kilka poważniejszych bitw, jak zwycięstwo pod Ilżą, klęska pod Opatowem i potyczka pod Blizinem. Z czasów tych miała pani Bukowiecka najwięcej bezpośrednich, bliskich wspomnień, gdyż jenerał Bosak pod koniec kampanji,

ukrywając się dla celów organizacyjnych pod cudzem nazwiskiem, przebywał niejednokrotnie w Tułkowicach u państwa Piaseckich, niekiedy w klasztorze w Solcu, a czasami nawet u znanych sobie z uczciwości chłopów w sandomierskiem. Ze służby w Tułkowicach zaufańsi byli w tajemniczeni, inni domyślali się, że ten gość zjeżdżający nocą, odsyłany nagle—musi być kimś znacznym w powstaniu, ale żadnego nie znalazło się zdrajcy, któryby doniósł władzom o podejrzaney osobistości, pomimo, że za głowę jenerała Bosaka naznaczyli Moskale ogromną nagrodę. O stosunku pomiędzy dworem, a ludem w tych ciężkich momentach i o stosunku ludu do powstańców w tej okolicy zachowała pani Bukowiecka jaknajlepsze wspomnienia. W dworze tułkowskim raz poraz przebywali kurjerzy łącznikowi czy dowódcy rozbitych oddziałów, którym pani Piasecka ułatwiała przejazd przez granicę do Galicji. Były to wyprawy bardzo ryzykowne, przez „zieloną komorę“ nad Wisłę, a stamtąd łodzią. Trzeba było mieć bardzo pewnego furmana, człowieka bystrego i ostrożnego.

Obie siostry pani Piasecka i panna Konarska miały głęboki szacunek i żywe przywiązanie do jenerała Bosaka, który umysłem i szerokością poglądów wyróżniał się wśród otoczenia. Zaniepokojone były zawsze podczas pobytu drogiego gościa, aby jakaś nadzwyczajna, nagła rewizja nie wykryła śladów jego pobytu. W końcu marca już ostatnie w tych stronach odbyły się potyczki. W kwietniu jenerał nadaremnie trzymał się nad związaniem rozbitych oddziałków, wreszcie zdecydował się przedostać do Galicji, aby tam jeszcze skupić towarzyszy broni i nowych ochotników. Miał nadzieję powrócić na ich czele. Przyszedł moment wyjazdu, chwila pełna wzruszenia dla całego dworu. Pani Piasecka wsiadła z jenerałem do powozu, który niebawem na zakręcie zniknął z oczu panny Zofji, unosząc w niepewną dal bohatera ostatnich bojów. We dwadzieścia minut po wyjeździe, nagle, wracają konie tułko-

wickie, wyteżonym galopem wpada powóz przed ganek. „Jesus Marja! Co się stało. Przerazenie ogarnia wszystkich. Czyż zasadzka — broń Boże zdrada, czy przypadkowe spotkanie pikiety moskiewskiej! Dzięki Bogu — nic tak groźnego. Jenerał zapomniał części ważnych papierów i musiał po nie wrócić. Długo jednakże w noc niespokojnie czuwano w dworze tułkowskim, zanim powrót pani Piaseckiej nie uspokoił wszystkich, co do udania szczęśliwego najniebezpieczniejszej części przeprawy. W tym samym mniej więcej czasie w cichym dworku, przy ulicy Smolnej w Warszawie, aresztowali Moskale Traugutta. Powstanie zgniecione brutalną siłą miało się ku końcowi. Nastąpiła głucha, okropna noc, nie rozświecona żadnem światłem nadziei. Na szubienicy i w kopalniach nerczyńskich zginęły tysiące najlepszych synów Polski — pozostała po nich ciężka, tłumiona żałoba.

III.

W tym samym roku, kiedy dwór w Tułkowicach gościł tajemnie jenerała Bossaka poznała Zofja przyszłego swego męża, dr. Ludwika Bukowieckiego.

Był to człowiek wielkiej miary co do charakteru, wykształcenia, patriotyzmu i pojmowania obowiązków społecznych. Urodzony i wychowany w poznańskim wyższe studia odbywał na uniwersytecie we Wrocławiu, gdzie skupiało się wówczas liczne grono polskiej młodzieży. Wśród kolegów zajmował wybitne stanowisko, był prezesem koła literacko-słowiańskiego, które młodzież założyła we Wrocławiu, a gdy wyjechał już z tego miasta, towarzystwo w dowód uznania, mianowało go swym członkiem honorowym. Kształcił się zrazu na wydziale filozoficznym, a następnie ukończył wydział lekarski. Poważne wykształcenie wyrobiło w jego umyśle żywym i czynnym szerokie poglądy.

Na wieść o powstaniu w Królestwie, natychmiast podążył jako ochotnik i zgłosił się do partji Langiewicza, gdzie bił się jako żołnierz i służył jako lekarz, organizując lazarety polowy. Po aresztowaniu dyktatora i rozproszeniu jego partji—zdołał osiedlić się, bez zwrócenia uwagi władzy moskiewskiej, w Opatowie i tu zaczął praktykę lekarską. Wkrótce zdobył młody lekarz gorącą sympatię w całej okolicy, zarówno we dworach, jak i wśród ubogich pacjentów w miasteczku. Jego postać szlachetna, chlubna służba w powstaniu, wysokie zalety osobiste zrobiły silne wrażenie na umyśle panny Zofji Konarskiej, której wdzięczna postać i niepospolita dusza wzbudziły w nim poważne zajęcie, zamienione wkrótce na głęboką i wielką miłość. Wysoką kulturą umysłową i moralną, oraz powagą myśli i charakteru przerastał dr. Bukowiecki znacznie całe dotychczasowe otoczenie Zofji, a w niej rozwinęły się już były wszystkie odczucia rzeczy wielkich, w ogniu 63 r. dojrzała dusza, pragnąca ofiarnej służby dla ojczyzny, wśród okropnego mroku prześladowań i reakcji, jakie przyniosły lata następne—czerpała otuchę do przetrwania w czystym płomieniu gorącego i jedyne go uczucia, jakie wprowadziło ją w zakres życia dla kobiety największej wagi: małżeństwa i macierzyństwa.

Dnia 10 października 1865 roku odbył się ślub państwa Bukowieckich, którzy zamieszkali w Opatowie, w przemyślnym dworku parterowym z ogrodem, nad Opatówką.

Miłość Zofji dla męża była niepospolicie żywa i połączona z prawdziwym dla niego kultem. Gdyby nie okropne czasy, które przeżywał kraj, brutalnie gnębiony po powstaniu—byłoby to najpełniejsze szczęście, jakie można sobie wyobrazić. Tych dwoje ludzi łączyła bowiem nie tylko największa miłość, ale i zupełne zrozumienie, wspólne dążenia, wzajemne doskonalenie się, wspólna praca społeczna. Doktor Bukowiecki całą energję swą i zapał włożył w dzieło dużego znaczenia dla zapadłego miasteczka. Postanowił

zbudować i urządzić szpital z funduszków składkowych i miejskich, które trzeba było z trudem wydobyć. W tej pracy niestrudzenie pomagała mu żona, tak, że przez parę lat zdołał szczęśliwie zamiar swój doprowadzić do końca i mógł oddawać się pracy lekarskiej w stworzonej przez siebie instytucji, pozwalającej na umiejętne pielęgnowanie chorych, którzy w domu, wśród brudu i niewygody, oraz przesądów babskich nie mogliby nawet wypełnić przepisów doktora. Szczęście rodzinne zakwitło w całej pełni w domu państwa Bukowieckich z przybyciem na świat syna. Macierzyństwo opromieniło panią Zofję jakąś aureolą słodyczy i piękności wewnętrznej, wielkiego dostojęstwa kobiecego, które jej zawsze już towarzyszyło w życiu. Znała wartość swego wielkiego szczęścia i cieszyła się nim z całej duszy, patrząc radośnie wraz z ukochanym mężem na pierwszy uśmiech dzieciny i śledząc codziennie rozwój maleńkiego Stasia, którego szczebiot nappełnił niebawem dom cały, przebiegany drobnymi stopkami. Wtem, jak grom z jasnego nieba, gdy mały miał dopiero dwa lata—spadł cios nielitosny, tragiczny, który zniszczył szczęście tak wyjątkowo dobranej rodziny, rozbił to ognisko cnoty staropolskiej i ciężką żałobą okrył na całe życie niepospolite serce kobiece. Doktor Ludwik Bukowiecki zaraził się u łóża chorego tyfusem plamistym i na tę chorobę, która tylu zdolnych lekarzy wydziera społeczeństwu, po krótkich zmaganiach młodego organizmu zakończył życie 15 grudnia 1869 r. Najtłkliwsze współczucie rodziny, znajomych i tej całej biedy, którą opiekował się zmarły, otoczyło 25 letnią wdowę, która za śmiercią męża straciła nie tylko szczęście, podporę i opiekę w życiu, ale i podstawy bytu materialnego. Majątek pozostał bardzo skromny, niewystarczający na utrzymanie jej z synkiem, nie mówiąc o kosztach dalszej edukacji chłopca. Wprawdzie w lat parę po śmierci męża, mogła była wyjść powtórnie za mąż—ale niewygasła miłość i żal głęboki po stracie, jaką poniosła, nie pozwolił

jej myśleć o nowych związkach, pochłaniała ją całkowicie myśl o wychowaniu ukochanego jedynaka, któremu oddała się z zapałem, równocześnie starając się o pracę zarobkową. I oto tutaj uderza nas zasadniczy rys charakteru Zofji Bukowieckiej. Jak umiała korzystać z wielkiego szczęścia, które stało się jej udziałem i wyciągała z niego to wszystko, co dla duszy stanowi trwałą wartość, tak w nieszczęściu, pełna dostojeństwa i hartu, umiała cierpieć z pożytkiem dla swego wewnętrznego doskonalenia, cierpieć z godnością natur silnych, z największą dbałością o najwyższą, najszlachetniejszą linię swego rozwoju.

Trzeba było pożegnać się z cichym domkiem opatowskim, gdzie jej upłynęły cztery lata najpiękniejsze w miłości i pracy obywatelskiej. Przeniosła się zrazu do domu rodzicielskiego do Wilczyc, a następnie objęła obowiązki nauczycielki w sąsiedztwie u swej ciotki. Były to pierwsze jej kroki na drodze do zdobywania bytu przez pracę nauczycielską, którą następnie zamieniła na literacką.

Gdy, w kilka lat później owdowiała druga jej siostra, Świeżyńska i musiała sama zawiadywać dość kłopotliwem gospodarstwem rolnem, pani Bukowiecka przeniosła się do niej na wieś i tam zajęła się wychowaniem jej sześciorga dzieci, oraz własnego syna.

IV.

W roku 1877, gdy nadeszła chwila oddania syna do gimnazjum, osiadła Zofja Bukowiecka w Radomiu wraz z siostrą swą Piasecką i zajęła się wychowaniem zarówno swego syna, jak i siostrzeńców Piaseckich i Świeżyńskich, oraz paru innych chłopców z rodziny, których powierzono opiece ciotek, podczas lat nauki szkolnej w rosyjskiem gimnazjum. Stworzenie dzieciom domu rodzinnego, żyją-

cego polską tradycją, tchnącego gorącym patriotyzmem, było znakomitą zabezpieczeniem przed ujemnymi wpływami obcej szkoły; praca wychowawcza osoby tak rozumnej i dobrej, która najserdeczniejszą troskliwością otaczała całą gromadkę i umiała kierować bez słabości, a z wielką miłością rozwojem młodych umysłów, musiała odbić się na całym życiu wewnętrznym tego pokolenia w rodzinie. Język polski, historia narodu, nauka obywatelska, wychowanie religijne—tego nie dawało rosyjskie gimnazjum—ale matka, kobieta polska, świadoma swych obowiązków pracowała nad wykształceniem własnym, aby synów i córki wyposażyć w te skarby polskiej kultury, jakie sama odziedziczyła. Poza szkołą, wbrew szkole obcej, pracował dom rodzinny. Pani Bukowiecka rozumiała to zadanie lepiej, niż ktokolwiek; całą duszą kształciła się sama, aby swoich chłopców, w miarę jak dorastali, umieć coraz wyżej prowadzić i potrzeby ich umysłowe rozumieć. Równocześnie utworzyła komplety historii i literatury polskiej dla dziewcząt. Głęboki zmysł historyczny i miłość ku rzeczom ojczystym wskazały pani Zofji to źródło wiedzy, jakim są wycieczki po kraju. Na wakacje jeździła z synem niejednokrotnie w Poznańskie, do rodziny męża; szczególniej serdeczna przyjaźń łączyła ją z starszym bratem doktora, księdzem Maciejem Bukowieckim, proboszczem z Wągrówca, który jako człowiek światły i czynny zajmował wybitne stanowisko w miejscowym życiu społecznym. Gdy, w Królestwie, pierwszych kilkanaście lat po powstaniu mijało w pośpiesznym przygnębieniu, w Wielkopolsce praca oświatowa i kulturalna już potworzyła ogniska zarówno na wsi, jak w miastach i miasteczkach, już wysuwały się hasła gospodarcze i rysował projekt odrodzenia narodowego przez pracę na roli, w warsztacie i handlu. Ludzie, z którymi się spotykała pani Zofja w Poznańskim, pracując dla przyszłości, nauczyli ją cenić ten mrówczy wysiłek skromnych, codziennych zadań, których dokładne spełnienie stwarza podstawę

do rozwoju narodowego. Niebawem stać się miała tej cichej, a twórczej pracy niestrudzoną apostołką, we wszystkich swych powieściach dla młodzieży.

Nietylko jednak Wielkoposka była celem jej wakacyjnych wędrówek; starała się, pomimo trudnych warunków, zwiedzać i inne dzielnice, aby objąć całość ziemi ojczystej: objeżdżała z synem także Pomorze i Galicję, знаła Lwów, Wilno, Gdańsk, nie mówiąc o Krakowie, Poznaniu i Warszawie, a wszędzie, gdzie była, starała się poznać wszystko, co w danej miejscowości jest widzenia godne, szczególnie w zakresie pamiątek historycznych. Wszędzie też, ciekawa ludzi, nastroju, pracy i życia narodowego, umiała nawiązywać stosunki, zostawiać miłe wspomnienia tak, że we wszystkich niemal dzielnicach Polski miała serdecznych przyjaciół i znajomych, nie licząc ogromnie rozgałęzionych stosunków rodzinnych. Przywiązanie gorące do całej Polski nie przytłumiło specjalnego jej uczucia dla stron rodzinnych: kochała Sandomierz entuzjastycznie, znała dokładnie jego kościoły, jego wszystkie pamiątki historyczne i uważała ten „mały Kraków“ za skarbiec bogaty narodowej kultury. Pierwszą też jej pracą drukowaną był „opis wycieczki z Sandomierza do Puław, Wisłą“ pomieszczony w „Przyjacielu Dzieci“ w 1877 r. Drugą pracą był artykuł rozumowany w „Kronice Rodzinnej“, około roku 1882 pod tytułem „Moralność bez Boga“.

Właściwie jednak, dopiero w roku 1885, gdy zamieszkała w Warszawie, po wstąpieniu syna na uniwersytet, zabrała się pani Bukowiecka do pracy literackiej. Zachętę w tym kierunku dała jej redaktorka „Wieczorów Rodzinnych“ pani J. M. Zaleska, osoba rozumna i wysoce utalentowana, której pogadanki przyrodnicze, ujęte w niezmiernie zajmującą formę cieszyły się ogromnem powodzeniem wśród młodzieży. „Wieczory Rodzinne“, skupiały wówczas koło siebie kilka znamienitych talentów pisarskich i były redagowane doskonale. Oprócz domu rodzinnego,

który tak uparcie i mocno przeciwstawiał się wpływom wrogiej i złej szkoły, były te pisma: „Przyjaciel Dzieci“ i „Wieczory“ jedną z najsilniejszych warowni polskości. Docierały do wszystkich zakątków kraju, na daleki wschód i na kresy zachodnie, łączyły wszystkie zaborcy, przygotowywały z dzieci-czytelników prawdziwych obywateli krajowi. „Wieczory Rodzinne“ pod redakcją pani Zaleskiej szczególnie świetnie się rozwijały i ogromne wobec społeczeństwa położyły zasługi. Tylko niedopatrzanie rosyjskiej cenzury sprawiło, że taki środek agitacyjny, krzewiący ducha narodowego już w dzieciach, ledwie odrosłych od ziemi, nie został odebrany i zgnieciony zanim przeniknął do wszystkich komórek narodowego organizmu. Dobór powieści, artykułów, ilustracji, nawet zagadek i szarad dawał młodemu czytelnikowi to wszystko, przed czem miało go gimnazjum rosyjskie zachować i ochronić, dawał żywą Polskę. Pomimo szykan cenzury, pomimo narzuconego milczenia o męczeństwie i walkach narodu, pomimo wszystko!

Pani Zofja Bukowiecka w tej pracy redakcyjnej znaczny miała udział, pozatem wiele tłumaczyła i przerabiała z obcych języków. I tak z Ebersa, niemieckiego powieściopisarza historycznego, przetłumaczyła z przystosowaniem dla młodzieży prześliczną powieść z dziejów Egiptu p. t. „Bohater Tebański“.

Największą jednakże zasługą pani Bukowieckiej było prowadzenie korespondencji z młodymi czytelnikami. Z działu „odpowiedzi od Redakcji“ tak zwykle mało wyzyskiwanego, umiała pani Bukowiecka stworzyć placówkę ważną i osiągnąć przez nią wpływ moralny i patriotyczny w bardzo szerokim zakresie.

Wieczory stały się odtąd ogniskiem, łączącym polskie dzieci ze wszystkich zaborów węzłem stałej wymiany myśli, przez liściki drukowane w „Wieczorach“, oraz odpowiedzi „Jaskółki“. „Skrzynka do listów“ wzbudzała największe zaciekawienie czytelników, podniecała zapał i współzawo-

dniectwo szlachetnej pracy, którą się można było wykazać w listach do redakcji, dochodziła do zakątków i w dalekie strony świata. Wiele rodzin polskich, zamieszkałych dla chleba w Rosji, czy na Syberji, zapomocą tych listów dziecięcych do „Jaskółki” utrzymywało stałe porozumienie z krajem ojczystym. I tak Władzio i Zosia z Władywostoku donoszą „Jaskółce” różne ciekawe szczegóły o swoim pobycie nad granicą Chin, a ona opisuje im zdarzenia ważniejsze z życia narodowego, nawiązuje żywą łączność ze wszystkim, co się dzieje w kraju, a jest dostępne dla serc i umysłów dziecięcych. A cenzor rosyjski, który wykreśla z rękopisów słowo: „powstanie” nawet w podręczniku geologii—nie domyśla się jak niebezpieczną robotę w tej skromnej „skrzynce do listów” prowadzi niestrudzenie przez całe szeregi lat wielka patriotka. Dzieci zaznajamiają się ze sobą. Niezabudka z nad Warty i Fijołek z doliny Prądnika nawiązują korespondencję z Gronostajem syberyjskim i Kaukazką Kozicą. Ileż radości sprawia już samo obieranie pseudonimów i zastosowanie ich do usposobień dzieci, oraz miejscowości, z jakim biciem serca witany bywa każdy numer, który może przenieść odpowiedź Jaskółki lub liścik oddalonego korespondenta. Wzrasta zainteresowanie geograficzne i wyrabia się w dzieciach nadzwyczaj silne poczucie wszechpolskiej obecności, łączności interesów, radości i smutków. Pamiętam, że dla mnie osobiście i dla mego rodzeństwa nadejście każdej partji „Wieczorów” (które się odbierało „przy okazji” z księgarni w mieście powiatowem)—stanowiła od wczesnego dzieciństwa prawdziwe zdarzenie w życiu. Dzień, w którym wyczytaliśmy poraz pierwszy nasze pseudonimy w „skrzynce do listów” był dniem nieopisanego wzruszenia i szczęścia.

Wiele osób, odgrywających dziś poważną rolę w społeczeństwie może zaświadczyć, że odpowiedzi „Jaskółki” w ciągu kilku lat korespondencji wywarły decydujący wpływ na kierunek ich życia i pracy. Przytoczmy choćby kilka przykładów, aby sobie zdać sprawę, jak w związanych

słowach krótkiej korespondencji wiele można zmieścić żywotnej i znamiennej treści. Oto kilka listów, z późniejszej już epoki, z 1905 roku.

„Biedny Niedźwiedziu—chciałabym ci na dalekie pola Mandżurji posłać serdeczne, pełne współczucia wyrazy, chciałabym szanownym twoim rodzicom wypowiedzieć jak bardzo dzielę ich niepokój o Ciebie. Wszyscy spodziewamy się tu z dnia na dzień pokoju (między Rosją, a Japonją po wojnie z 1904 r.) wrócą więc do domów biedni żołnierze, wrócisz i Ty zdrow, żeby opowiedzieć nam w długim liście o wszystkim co przeżyłeś wśród dalekich krain, o wszystkim czego się tam nauczyłeś. Bo Japończycy nieraz nam dali dobrą lekcję miłości bliźniego, wytrwałości i dzielności, która sprawiła, że w niespełna 30 lat zdobyli dla swego kraju taką cywilizację, o jaką my starać się powinniśmy“.

„Dziękuję ci, kochany Słowiku, że choć trochę obrażony, piszesz jednak do Jaskółki. Łatwo nam się przyjdzie porozumieć, bo przecież przysłowie mówi: „ptak ptakowi oka nie wykole“. Wyciągnij więc łapkę na zgodę, ja ci moją podam i zawrzyjmy przyjaźń. Szkoda, że nie opisałeś mi pobytu w Busku. Znałam tę miejscowość przed laty, ale od tego czasu mogła się bardzo odmienić. Wody mineralne to wielkie bogactwo wspólne, gdybyśmy tylko wyzyskać je umieli i mogli, jak inne narody to czynią. Do Karlsbadu, do Trenczyna zjeżdżają się chorzy z całego świata, nasz Busk i Solec niemniej bogate ma lecznicze pierwiastki, ale któż zechce przyjechać tam, gdzie trzeba wlec się najętą furmanką, bo nie ma kolei, gdzie brak wygod, oświetlenia, kanalizacji. Jesteśmy w każdym względzie biedakami, a jednak pracą i wytrwałością zdobyć można wiele, byle pracować i wytrwać“.

Karty „Paskudnego Dzieciaka“ odebrane dziś są mi dowodem, że i prowincja nie próżnuje, a chociaż, jak pisze Dzieciak, nauczanie napotkało u was na przeszkody, to

zniesienie stanu wojennego przywraca swobodę szlachetnej pracy. Ucieszyłeś mnie, Dzieciaku, dewizą, że „nie trzeba nigdy tracić nadziei“. Dawne twoje listy brzmiały pesymizmem, który boli mnie w was, kochane pisklęta. Może praca nad analfabetami wróciła szlachetnemu Dzieciakowi wiarę w lepszą przyszłość, może przyślesz nam znów kiedy udatny, a weselszy wierszyk, tylko, zmiłuj się, Dzieciaku, nad oczami Jaskółki i pisz wyraźniej“.

„Barwny i bardzo ciekawy opis pobytu biskupa Jaczewskiego wśród parafjan Kossowa przesyła kochana przepiórka z Podlasia. Zazdroszczę ci, przepióreczko, podniosłych wrażeń, jakich doznałaś w czasie tylu uroczystości i gotowa byłam, jak w znanej piosence podążyć „boso“ za tą Przepióreczką byle odczuć to, co odczuwał bosy także zapewne, przynajmniej po części, tłum pobożnych, który miał prawo wypisać na bramie triumfalnej: „Witaj pasterzu dawno oczekiwany“.

Pracę tę prowadziła pani Bukowiecka nadzwyczaj systematycznie i wytrwale. Każdy z korespondentów miał swój numer i pozycję w zeszycie, do którego wpisywała treść listu i odpowiedzi. Znała też usposobienie, wady i zalety tych, którzy często i przez wiele lat z rzędu pisywali do „Jaskółki“, zwierzając się jej z wielu pragnień, prosząc o radę w wielu młodocianych niepokojach i trudnościach. Bywali korespondenci tak wytrwali i przywiązani do „Jaskółki“, że, nawiązawszy korespondencję we wczesnem dzieciństwie, prowadzili ją do wieku dojrzałego, przyjeżdżali umyślnie do Warszawy, by poznać swą doradczynię i przyjaciółkę, wywiązywała się znajomość osobista i stosunek — z jednej strony gorącej wdzięczności, z drugiej — zainteresowania duchowego i troskliwej opieki.

Właściwa działalność literacka pani Bukowieckiej rozpoczęła się dość późno, po roku 1891, gdy „Jaskółka“ opuściła Warszawę i przeniosła się wraz z synem do Dąbrowy Górniczej, gdzie p. Bukowiecki, zaczął pracę zawodową jako radca prawny jednej z kopalń tamtejszych. Pani Bukowiecka знаła już życie małych miast prowincjonalnych: ukończony przez nią w młodości Sandomierz, później Opatów i Radom zostały w jej wspomnieniach — wrażenie sympatyczne i dodatnie. Wszędzie bowiem żywy jej umysł umiał wynaleźć coś zajmującego do roboty, a wielka życzliwość dla ludzi — dyktowała wyrozumiałość na wady, oraz umiejętne podkreślanie zalet, zarówno u ludzi bliskich jak i dalszych znajomych.

W tych małych miastach prowincjonalnych nie nudziła się nigdy i umiała stworzyć w domu swoim promieniujące naokół ognisko życia narodowego i kulturalnego.

Zdolność oddziaływania na ludzi posiadała pani Bukowiecka w wysokim stopniu i rozwijała ją w sobie świadomie, sama od innych biorąc także bardzo wiele z prawdziwym przekonaniem o konieczności umysłowego współżycia i o pożytku, jaki stąd wynika dla społecznego rozwoju. Starła się zatem wraz z synem wytworzyć w Dąbrowie Górniczej środowisko pulsujące życiem umysłowym, oraz tajną pracę polityczną na wszystkie trzy zabory.

Już wtedy, w Galicji, życie narodowe polskie rozwijało się w całej pełni i zaczęło wywierać wpływ bardzo silny na wszystkie ziemie polskie. W lipcu 1890 r. odbyła się w Krakowie, w obliczu tłumów ludu, przy ogromnym zjeździe, olbrzymia manifestacja patriotyczna z powodu sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel do grobów królewskich. Przybyli ludzie z najdalszych zakątków dawnej Rzeczypospolitej, zaznajomili się ze sobą, rozgadali

o wszystkich cierpieniach niewoli, a zarazem policzyli swe siły i nabrali otuchy do wytężonej pracy narodowej na wszystkich polach, jawnej, gdzie były po temu warunki, tajnej, podziemnej tam, gdzie brutalny ucisk uczył skrytości i działania pod osłoną konspiracji.

W parę lat później we Lwowie wytworzyło się ognisko ruchu narodowego, który nazwał się „wszechpolskim“ i począł skupiać młode pokolenie polityków około „Przeglądu Wszechpolskiego“, pisma o charakterze radykalnym, które głosiło ostry protest przeciw wszelkim próbom ugody z rządami zaborczymi. Kierunek ten, wnoszący świeży powiew do atmosfery życia narodowego, przyduszonej po roku 63-cim, znalazł w Dąbrowie gorący odzwiek i współpracę zarówno matki, jak syna. W domu państwa Bukowieckich bywały składy owej „bibuły“ patriotycznej, którą przemysłowcy myśli narodowej przewozili przez granicę rosyjską do Królestwa, narażając się na ciężkie prześladowania. Mniejsze ładunki przewożono na sobie, pod ubraniem, zaszyte w tak zwane „ornaty“, większe paki przewożono przez „zieloną komorę“, czyli przez graniczne lasy i pola, także z wielkiem niebezpieczeństwem. Niekiedy opłacano strażników, aby udawali, że nic nie widzą.

Szczególniej wielkie znaczenie dla rozbudzenia ruchu narodowego u chłopów i drobnych mieszczan miało rozpowszechnianie „Polaka“ wydawanego w Krakowie przez Kacpra Wojnara. P. Bukowiecki przewoził sam całe partje i innym ułatwiał tę pracę, a matka, mimo niepokoju, w ciągłym przygotowaniu do grożącej rewizji, dopomagała w rozsyłaniu pisma, służąc sprawie, którą uważała za dobrą.

Hasło „oświaty ludu“ stało się w Królestwie najpowszechniejsze, najbardziej przez wszystkich ukochane. Rozpoczęto tajne nauczanie dzieci i dorosłych, a prowadzono je naogół z wielkiem poświęceniem i wytrwałością, pomimo kar pieniężnych i aresztu, mimo ciągłego strachu przed rewizją żandarmską. Wiele zwłaszcza kobiet odznaczyło

się na tem polu prawdziwie bohatersko, łącząc wielką odwagę z cichą pracą codzienną. Pani Bukowiecka uczyła sama i zachęcała do tej pracy całe młode pokolenie, zarówno panien ze wsi, mających u siebie możność zbliżenia się do ludu wiejskiego, jak i osób z miasta, docierających z nauką tajną do suteryn i na poddasza.

Mieszkając w Dąbrowie p. Zofja zainteresowała się żywo tym światem podziemnym, którego dotąd nie знаła: kopalnią. Życie górnika, jego twarda praca, przeszłość górnicza w Polsce, legendy z nią związane, to wszystko zajęło bardzo żywo jej umysł i wyobraźnię. Z tych wrażeń powstała pierwsza oryginalna powieść dla młodzieży Zofji Bukowieckiej: „Historja o Janku Górniku“. Jest to napisana z wielkiem uczuciem książka, malująca dzieje dziecka, a następnie młodego robotnika, który przy pomocy zacnych ludzi dochodzi do niezależnego, szanowanego stanowiska, zawsze w miarę sił dopomagając innym i wyrabiając w sobie siłę charakteru. W przeprowadzeniu akcji znać jeszcze rękę początkującej autorki, albowiem fabuła powieści, przeciążona jest efektownymi wydarzeniami, które następują po sobie z wielką szybkością, co robi wrażenie nieco nużące i nienaturalne. Młodzi czytelnicy znaleźli jednak w tej powieści, nietylko zajmująco opowiedziane dzieje swego rówieśnika w warunkach nieznanych sobie, a tak bardzo zaciekawiających, pod ziemią, wśród niebezpieczeństw, wymagających bohaterskiej odwagi i wytrzymałości, ale także całe skarby tradycji polskiej, obyczajów, starych górniczych, wzruszających obrazów cnoty i budzącego się tam w głębi—życia narodowego. Szczere umiłowanie ludu pracującego, współczucie dla jego doli, gorące zainteresowanie jego życiem — bije z tej skromnej książki dla młodzieży. Drugą podobną do pierwszej powieścią, wzorowaną na niej poniekąd, była „Historja o Antku rolniku“, mająca za zadanie odmalować życie wiejskie, uprzyśtępnąć je niejako i barwnie przedstawić dzieciom z miasta

poruszyć sprawę oświaty ludu, tak bardzo leżącą na sercu autorce. Książki te spotkały się z gorącym uznaniem krytyki i wielkim powodzeniem u dzieci, to też niecierpliwi czytelnicy ciągle dopominają się o nowe, a bogata w doświadczenie życiowe autorka ze swoich skarbów skrętnie dotąd zbieranych, coraz to inne wysnuwa historie na temat życia dzieci w Polsce współczesnej i przygotowania ich do zadań i zagadnień społecznych w duchu najczystszych ideałów chrześcijańskich i wielkiej tradycji polskiej. Następują szybko po sobie: „Rok życia“, w 1897 r. wydane „Dzieci Warszawy“ i dalszy ciąg tej powieści „Młotem i Kielnią“. Dwie ostatnie napisane już były w Warszawie, dokąd się pani Bukowiecka na stałe wraz z synem przeniosła. Jak w Dąbrowie wystudjowała życie górników, tak teraz, przedewszystkiem zajęła się życiem i dolą proletariatu z Powiśla oraz zamożniejszych sfer rzemieślniczych. Zetknięcie dzieci ze sfery ziemiańskiej, oraz inteligencji miejskiej z dziećmi z ludu, najłatwiej tak w życiu, jak w powieści—przeprowadzić można było na tle szkoły. Wiemy, że w ostatnim okresie niewoli kształcenie wyższe i zawodowe zdolnej młodzieży z ubogich sfer miejskich, stało się jednym z bardzo gorąco ukochanych nakazów narodowych; to, co Karol Marcinkowski zainicjował w Poznańskim nie mogło w Warszawie iść szerzej jako praca zbiorowa, ale po cichu zaprzętało wielu ludzi ofiarnych, mało kto jednak tak zupełnie i tak umiejętnie poświęcał się kwestji wychowania małych terminatorów i ubogich studentów, jak adwokat Bohdan Piasecki, siostrzan pani Bukowieckiej, który ją zaznajomił z tym światkiem urwisów, pełnych energii, pragnących zdobywać przyszłość i wiedzę. Ukochawszy ideę zdemokratyzowania społeczeństwa, przez węzły koleżeństwa młodego pokolenia, oraz zbratanie towarzyskie ludzi pracy z różnych środowisk, oddała się pani Bukowiecka z całym zapałem apostołowaniu tej myśli, która w „Dzieciach Warszawy“ narzucona z wielką siłą przekonania,

rozwija się, poprzez dzieje dwu pokoleń i dochodzi do pełnego rozkwitu w powieści „Młotem i Kielnią“. Wielką zaletę tych powieści stanowi żywość akcji, umiejętność stworzenia interesującej, a nawet sensacyjnej treści opowiadania, która młode umysły do końca zajmuje, przykuwa uwagę i cieszy pomyślnem rozwiązaniem bardzo nieraz niepokojących i zawikłanych przygód, zawsze jednak opartych o tło realne, życiowe. Wielkiej wartości dydaktycznej są różne opisy krajoznawcze, historyczne, z dziedziny kultury ojczystej, historii rzemiosł, jak np. prześliczny epizod o podróży Wisłą z Warszawy do Gdańska, sama historia Gdańska i Kaszubów — znakomicie ujęta charakterystyka kultury niemieckiej i pożytku jej przykładu dla rzemieślników polskich. Ze względów artystycznych jeden możnaby zrobić zarzut, że tej treści dydaktycznej jest za dużo, przytłacza ona budowę powieści, które są niejako zbyt pełne, przeciążone bogactwem wiadomości, godnych zapamiętania. Nie jest to nigdy rozwlekłe i nudne, tylko zanadto męczące, nagromadzone z wszystkich dziedzin.

Dlatego też prawdziwem arcydziełem wśród tych powieści dla młodzieży nie są dwie powyżej wymienione, pomimo swej idei i kart wielkiej piękności, ale książeczka trzecia, poświęcona pamięci Bohdana Piaseckiego, bardziej przejrzysta w budowie, a odzwierciadlająca chrześcijańską tradycję polskiego dworu p.t.: „Jak się dusza budziła w Józiu“. „Kto nie miłuje, nie zna Boga, gdyż Bóg jest miłość“ takie motto z listu św. Jana dała autorka opowiadaniu, które istotnie przepojone miłością Boga i ludzi, polskiego krajoobrazu, wsi rodzinnej, miłością biednych dzieci chłopskich, łaknących nauki i robotników nocą oczyszczających kanały i rynsztoki miejskie, miłością wszystkich krzywdzonych niesprawiedliwie, czy lekkomyślnie, oraz miłością wzajemną wszystkich ludzi dobrej woli. Pod względem nastroju duchowego książka ta wiele ma pokrewieństwa z „Sercem“ Amicisa, które później dopiero do Polski zawędrowało.

Niektóre ustępy, jak lekcja adwentowa księdza prefekta o świętości ubóstwa, jak śmierć starej klucznicy w polskim dworze, jak ministrantura pastuszków przy ołtarzyku, ustrojonym między łanami zboża, jak wręczenie Józiowi przez matkę drogiej pamiątki po ojcu, — złotego zegarka — owiane są urokiem prawdziwej, głębokiej poezji. A ileż dla młodocianych czytelników przedstawiają interesu sceny koleżeńskich bójek o słuszną sprawę, albo pierwszego polowania na kaczkę, walk między Indjanami i białymi, dyngusu na wsi i wieczorku w karnawale! Obrazki wzięte z życia, pełne naturalności, a z wielkim wdziękiem traktowane i znajomością gustów chłopięcych. Dusza budzi się w Józiu, który w domu i najbliższem otoczeniu miał zawsze dobre przykłady, wychowywany na pożytek kraju w duchu prawdziwie chrześcijańskim; delikatny, uczynny, zdolny rozwija się w naszych oczach, wszystkie zdarzenia z życia uczniowskiego oddziałują na jego wrażliwą naturę, aby pobudzić go do szlachetnej pomocy kolegom, do ukochania i do pełnienia dobra. Jakże taka treść mogłaby wypaść ckliwie i molizatorsko, a jaka jest żywa, serdeczna i pełna swoistego wyrazu. Na specjalną uwagę zasługuje scena, której niedługo może dziecko polskie nie zdoła już odczuć. Idąc zamyślony wąską ulicą usłyszał Józio hałas, który zwrócił jego uwagę. „Gromada małych urwisów napadła starego żyda. Żyd niósł w ręku srebrne pudełko i srebrną palmę, szedł z bóżnicy szybko, jak na to pozwalały słabe jego siły. „Żydzio, Mesjasz idzie!“ krzyknął mu nagle nad uchem jeden z urwisów. „Do Palestyny — po cebulę i łokciwes!“ wołał drugi „a zabierz z sobą swoją Surę i bachorki!“ radził najzuchwalszy i szarpnął za połę długiego chałata. Żyd był stary, wyblakłe oczy zakrywały mocno zaczerwienione powieki, biała broda spływała do pasa; cała postać nakażywała poszanowanie, ale zdziaczeli próżniactwem ulicznicy nie zwracali uwagi ani na wiek, ani na powagę izraelity. Najśmielszy z urwisów wyrwał staruszkowi książkę, którą

niósł razem z palmą. Zachęceni przykładem towarzysze ciągnęli coraz mocniej za chałat. Żyd bronił się słabo, uchylał tylko palmę i pudełko, ale jeden z napastników dosięgnął ręki starca i, wytrąciwszy palmę, zdarł mu z głowy aksamitną czapkę.

W tej właśnie chwili nadszedł Józio „wstyďte się pastwić nad starym i słabym”—wołał drżącym z oburzenia głosem. Odepchnął najbliższych, a zasłoniwszy sobą żyda patrzył groźnie za ustępującymi z trotuaru ulicznikami. „Żydowska niańka, pachciarski sługa, lizus“ krzyczeli za nim. Józio jednak nie zważał na ich szyderstwa. On, chrześcijanin wstydził się przed starym izraelitą za swych współwyznawców. Jakże zdziwić musieli chłopcy pozbawieni opieki i nauki, kiedy poważyli się napaść na bezbronnego starca i bezcześcić święte dla niego przedmioty.

W czasach, kiedy łobuzerskie dokuczanie każdemu żydowi uważane jest przez wielu nie „za zdziczenie przez próżniactwo i brak opieki“, ale niemal za zasługę narodową, oburzenie Józia nie znajdzie już w uczniowskich sercach tak żywego oddźwięku, a gorszącą wydawać się będzie jego przyjaźń dla kolegi Grinzweiga i dziwnem serdeczne zmarwienie, że kolega ten nie słyszał pięknej lekcji księdza o znaczeniu ubóstwa. Miejmy jednak nadzieję, że duch chrześcijański i wiekowa kultura uczuć zwyciężą chamstwo doby powojennej, że nie przyjdzie do tego, abyśmy mieli wykreślać z Mickiewicza, Orzeszkowej i Bukowieckiej piękne karty o miłości bliźniego, lub odnosić się do nich szyderczo, czy pobłaźliwie, jako do frazesów bez wartości.

VI.

Zagadnieniem i zadaniem, którego rezultat trudno przewidzieć i określić jest—wychowanie człowieka. Wiele czynników nieobliczalnych wchodzi w grę przy tej skompliko-

wanej sprawie i niednokrotnie praca bardzo poważna, wysiłki znaczne, nawet system przemysłany doznają niepowodzenia. Dwie szczególnie kwestje przedstawiają w praktyce znaczne dla wielu rodziców trudności: pogodzenie miłości rodzicielskiej z konieczną przy racjonalnem wychowaniu stanowczością — i umiejętność współżycia z dziećmi takiego, aby miały one możność nieskrępowanego, własnego rozwoju, ale węzłami zrozumienia i zaufania złączone były ze swą kolebką, z domem rodzicielskim. Jakże często uczucia macierzyńskie, czy ojcowskie po latach pracy — gorzkiego doznają zawodu. Przepaść pomiędzy własnym na świat poglądem, a ideałami i dążeniami dziecka, staje się coraz głębsza, im uczucie gorętsze, tem tragiczniejsze bywają walki, załamania wewnętrzne, rozterki dwóch pokoleń. Komu przypisać winę, czy tym, co wychowując, nie umieli sobie urobić w dzieciach towarzyszków wszystkich myśli i dziedziców duchowej spuścizny — względnie podążyć za młodymi, po ich drodze rozwoju — czy też tym, co wychowywani — bezwzględnie i krańcowo — wyrwali się z rąk rodzicom — szukając innych dróg, niejako przez prawo kontrastu. Są to zapytania, na które niełatwo dać słuszną odpowiedź, nawet wtedy, gdy się faktów nie uogólnia, ale obserwuje z całą bezstronnością każdy z osobna. O wychowaniu syna przez matkę — bez twardszej ręki ojcowskiej — mówi się też nieraz, że nie daje ono hartu życiowego i odporności. Wszystkie te trudności umiała p. Bukowiecka przezwyciężyć bardzo szczęśliwie.

Tajemnicę tego powodzenia wyjaśniają dwa dary, które posiadała w wysokim stopniu: po pierwsze kochała młodość i do późnej starości młoda była duchem — powtóre umiała wymagać od siebie i od drugih.

Rozumiała zresztą, że nietylko rodzice wychowują dzieci, ale także i dzieci — rodziców. A trzeba to rozumieć i na tem polega najpiękniejsze dostrojenie dusz do wspólnej harmonji, najdoskonalsze porozumienie, jakie mogą

osiągnąć umysły o tej samej kulturze, jeżeli to wzajemne oddziaływanie wychowawcze się uda, jeżeli oprócz uczucia, między matką, a dzieckiem wytworzy się zespolenie wszelkich umysłowych dążeń i atmosfera najpełniejszego zaufania. To rzadkie, a wielkie szczęście stało się udziałem pani Bukowieckiej, a było i jej zasługą. Serdecznie oddana wszystkim swoim wychowankom, z dwoma złączona była węzłami najściślej, bliskiej przyjaźni: byli to własny jej syn i siostrzeniec, Bohdan Piasecki. Od chłopców tych, w miarę jak wyrastali na młodzieńców o szerokim horyzoncie myślowym i zdobywali nieprzeciętne wykształcenie, korzystała sama bardzo dużo pod względem umysłowym, ciągle starając się o postęp, który pozwalał jej utrzymywać się na poziomie najsztudniejszych zagadnień psychologii, polityki i filozoficznych zmagani danej chwili.

W zestawieniu z tem, co przynosiło bujne życie i świat szeroki — busołą pewną i wypróbowaną stanowił dla młodzieńców jej głęboki rozum życiowy i wielkiej miary cnota. Bliskość i serdeczność tej atmosfery, nie miała nic z popularności, przepojona była raczej wykwiśniętością przedziwną, złożoną z dostojności i prostoty, którą wносиła z sobą wszędzie ta skromna, a tak niezwykła kobieta. Gdy syn, po ukończeniu uniwersytetu oraz studjów w Paryżu zaczął pracować samodzielnie zawodowo i społecznie, zdawało się, że osiągnęła cel trudów i zabiegów wychowawczych całego życia: dobiła do mety. A był to dopiero początek jej wielkich zadań życiowych. Doczekała się owoców pracy pod każdym względem świetnych i mogła spokojnie patrzeć w przyszłość, która zapowiadała się szczęśliwie.

Naraz padły ciosy — jak niegdyś w cichy, opatowski dworek. Na krótko przed ślubem syna umarła nagle jego piękna, ukochana narzeczona. Przeżyć boleść dziecka jest rzeczą najcięższą — ale czekało matkę jeszcze doświadczenie, które najsilniejszych zdolneby złamać i powalić — z niej stworzyło bohaterkę woli i ofiarnego czynu.

Około 1897 roku syn zagrożony został utratą wzroku, a po daremnych próbach ratunku u okulistów w Warszawie i Paryżu — istotnie wzrok utracił.

W zwykłych warunkach ludzkich byłby to koniec pracy, kariery politycznej, życia społecznego i towarzyskiego — koniec wszystkiego — wegetacja tragiczna. Ale miłujące serce matki i twarda jej, nieugięta wola — pokusiły się o stworzenie cudu, o przemożenie praw natury. Pięknie powiedziała kiedyś później do młodych: „Trzeba umieć pod krzyżem stać — i nie upadać“. Musiała sama wypracować w sobie ten cud woli: wyjść poza rozpacz, aby chęć życia, energję życia, wolę do pracy przelać w to młode serce, skruszone nieszczęściem, rozbudzić w umyśle zmartwiałym dawne ambicje, wielkie żądze użyteczności, wiedzy i doniosłego czynu — wskrzesić wiarę, że te wszystkie dziedziny stoją jeszcze otworem przed wysiłkiem męstwa i pracy, stworzyć wiarę w konieczność i możliwość życia twórczego, wiarę w przełamanie warunków, które wola nadludzka opanować zdolna.

Ale porwać się na takie dzieło, to nietylko pomyśleć — trzeba wykonać. Za pomocą niesłychanie usilnej, drobniagowej pracy trzeba zdobyć tysiące nowych doświadczeń, przeprowadzić na nowo edukację zmysłów, stworzyć technikę własną dla codziennych czynności, dla pracy umysłowej, dla całokształtu życia. I to wszystko w zdumiewający sposób — zrobili oni we dwoje — syn, przez miłość dla matki, matka przez instynkt macierzyński, który wie, że musi zwalczyć — niemożliwość. Wielką pomocą w tych chwilach potężnego zmagania z losem była im wierna, oddana przyjaciółka Bohdana Piaseckiego, którego rozum i charakter podtrzymywały odwagę i dodawały otuchy. Po miesiącach i latach bardzo wytężonej pracy osiągnięty został rezultat nadzwyczajny. Pan Bukowiecki wrócił do pracy zawodowej, utrzymał kancelarię adwokacką, prowadził sprawy, zaczął brać udział w życiu politycznem kraju, przemawiał

na zebraniach konspiracyjnych i jawnych, dyktował broszury polityczne i zabrał się do pracy naukowej, słowem przy najbliższym udziale matki stworzył sobie warsztat pracy i życie, nie tylko normalne, ale bogate i intensywne wartością myśli szerokich i żywym udziałem w odrodzeniowym ruchu Polski, wzmagającym się coraz bardziej.

Bohaterski wysiłek matki — zwyciężył. Poraz drugi — można powiedzieć — dała światu i wychowała syna.

Znowu przyszło ukojenie i zawitało szczęście rodzinne. Do pracy społecznej wspólnie z panią Zofją stanęła w domu druga kobieta niepospolitego ducha, jej synowa, ze Słonków Helena Bukowiecka, autorka doskonałych prac popularnych: „Opisu Ziemi Polskich“ i „Księstwa Warszawskiego“, zasłużona działaczka na polu oświaty ludowej.

Prawdziwy promień radości wniosło do atmosfery rodzinnej przybycie na świat córeczki. Babcia cieszy się maleńką wnuczką i wszystkie „dzieci Wieczorów“ cieszą się wraz z nią, dopytując w liścikach o Zosię, czy zdrowa, czy już duża urosła, a Babcia uradowana raz poraz w swoich odpowiedziach donosi z dumą, że Zosiunia ma już 18 miesięcy, mówi pa — i całuje fotografie przysłane przez dzieci, że już biega, szczebiocze. Dzieci kochają bardzo swego Benjamina i z największym zajęciem troszczą się o maleństwo.

VII.

Na jesieni 1905 roku, z wybuchem rewolucji rosyjskiej po wojnie japońskiej, nadchodzi nowa era w życiu narodowym, wreszcie rozbudzony ruch polityczny i bardzo bujnie poczyną rozkwitać praca społeczna: oświatowa i gospodarcza. „Wieczory Rodzinne“ z rozmachem wychodzą z krępujących dotąd więzów cenzury, a Jaskółka w swoim żywiole, swobodnie rozpościera skrzydła do lotu, oddycha pierwszym powiewem wolności i pisklętom swoim radośnie

wpaja w serca poczucie obowiązków, płynących ze zmiany ciężkich dotychczasowych warunków. Podniosły opis pochodu narodowego z dnia 5 listopada i wezwanie do pracy i ofiar pieniężnych na rzecz „Komitetu Narodowego niesienia pomocy dotkniętej głodem ludności“, rozpoczyna w „Wieczorach“ niezmiernie gorącą akcję, którą w listach do swych stałych czytelników prowadzi z zapalem pani Bukowiecka przez cały czas tej krytycznej epoki, w której najlepsze nadzieje przeplatane gorzkimi zawodami zszarpały wreszcie nerwy i przytępiły, świeże i silne zrazu, uczucia polskiego ogółu.

„Świta nadzieja lepszej przyszłości“—pisze Jaskółka—i znów za chwilę wracają dawne obawy. Taka jest jednak potęga świtów i nadziei, że rodzą w duszach ludzkich chęć zasłużenia na szczęście, że z przepelnionych wdzięcznością serc wydobywają skarby miłości. Starą piastową tradycją jest dzielić się chlebem z potrzebującymi, to też gdy dziesiątki tysięcy głodnych łakną dziś chleba w Warszawie, dziesiątki tysięcy chętnych wyciągnęło do nich bratnie ręce z natychmiastową pomocą. Kto może i jak może służy ochotnie, zamożny oddaje pieniądze, odzież, ubogi dzieli się obiadem, wiecie pewno, że z całego Mazowsza ciągną fury chłopskie z kapustą i kartoflami dla potrzebujących, że dzieci ze szkółek oddają swoje śniadania i grosze, że nawet niektórzy więźniowie połowę wydzielonego sobie chleba przeznaczyci dla głodnych. Są więc zapasy i mam nadzieję—nie braknie ich prędko, ale te zapasy trzeba roznieść na krańce miasta, trzeba wyszukać tych, którzy wstydzą się prosić, trzeba nie tylko nakarmić, ale i pocieszyć pracowników bez pracy. I znów na pierwsze wezwanie komitetu pospieszyło tysiące chętnych serc, aby oddać swe siły na usługę braciom. Stworzono w jednej chwili armję ratunkową i dziś we wszystkich punktach Warszawy wre prawdziwie obywatelska praca. Panie i dziewczęta mierzą kartofle, krają słoninę, ważą węgiel, a czynią to z zapalem

i radością, bo czują, że chleb, który rozdają to zadatek miłości wszystkich klas, że węzeł zadzierżgnięty między zamożniejszym a potrzebującym pracownikiem, nie powinien rozluźnić się już nigdy, że utrwalić go należy dalszą bratnią pomocą. Zrozumiano też, że nie dość jest nakarmić głodnych, trzeba jeszcze nieumiejętnych pouczać o prawach, jakie im dziś przysługiwać będą, aby te prawa umieli sobie sami przeczytać. A tylu między nami analfabetów! I znów więc poprzez ulice strojnej dawniej, a dziś czynem żyjącej Warszawy, przeleciało hasło nauczania, nie tylko w szkole, ale w każdym domu, nie tylko z ochoty jednostek, ale i z obowiązku wszystkich. I oto ja, która nieustannie wołałam do was: „ucz, ucz, ucz!“ jak prawdziwy ptak, co jednym tylko dźwiękiem krakać umie, ja stara, doczekałam się tej radosnej chwili, że „ucz, ucz, ucz!“ woła dziś cała Warszawa, cały kraj. Czy to hasło, z miłości bratniej poczętej szkoły doszło już do waszych uszu? Mam prawo sądzić, że „Dzieci Wieczorów“ nie dadzą się wyprzedzić nikomu w gorliwości, że rozumieją całą doniosłość zespolenia się miłością i pracą wszystkich z wszystkimi, że, o ile to jest w ich mocy, dołożą swoje ziarno do ogólnego posiewu“.

W słowach tych mamy cenny dokument, świadectwo chwili, o której gorących uniesieniach i doskonale zorganizowanej pracy — zapomnieliśmy w parę lat później, pod wpływem zniechęcenia i zawodu, my sami, którzyśmy te momenty tak silnie przeżywali. Można powiedzieć bez przesady, że „Dzieci Wieczorów“, z których wiele już wówczas dorosło i zajmowało różne stanowiska, stworzyły na wezwanie mecenasa Osuchowskiego kadry Polskiej Macierzy Szkolnej, pamiętne na hasło Jaskółki, wszczepiane im od zarania życia. Był to ruch tak żywiołowy, tak powszechny, tak silny i głęboki, że doprawdy zasługuje w dziejach odrodzenia narodowego na gorące wspomnienie: gdzieś po zapadłej prowincji, po wsiach i miasteczkach wyzwały

się jakieś dotąd zapoznane talenty administracyjne i finansowe, z dnia na dzień rósł fundusz na budowę szkoły, mnożyły się ofiary, w każdej zakazanej dziurze powstawało „Koło Macierzy“ ambicje rosły, przykład działał na okolicę z niesłychaną szybkością.

Gdy młodzież, idąc za impulsem żywiołowym rzuciła szkołę rosyjską stała się Macierz, jakby zawiązkiem narodowego Ministerstwa Oświaty, ogarniającego całe społeczeństwo i działającego z zadziwiającą sprawnością. Pierwsza rocznica Konstytucji majowej, obchodzona jawnie w Warszawie i w kraju była urządzona przez Macierz i dała Macierzy bogaty plon składek. Z szeregu odczytów, które wówczas — jednego dnia w różnych punktach miasta — wygłoszone były publicznie, odczyt napisany przez Zofję Bukowiecką, a drukowany w „Gońcu“, odznaczał się doskonałym popularnym ujęciem tematu, oraz siłą patryjotycznego uczucia. Z radością i ze wzruszeniem patrzyła pani Bukowiecka na szybki rozrost i rozkwit „Macierzy“ i czujnym okiem śledziła rozbudzone życie prowincji. Zawsze bowiem, mimo, że od lat wielu mieszkała już w Warszawie utrzymywała serdeczne, bliskie stosunki ze wsią przez krewnych, przyjaciół i rzesze korespondentów „Jaskółki.“ To też pierwsze zjazdy ziemianek, urządzane konspiracyjnie co roku na 8 grudnia, w mieszkaniu prywatnem, przez panią Kleniewską z Kluczkowic, witała pani Bukowiecka z entuzjazmem i prawdziwą radością, jako początek zorganizowanej pracy społecznej kobiet z tego środowiska, które dotąd nie miało żadnych zbiorowych celów i zadań, żadnej wspólnej pracy.

Interesowała ją bardzo gorąco przygotowawcza praca organizacyjna pewnej grupy działaczek społecznych, celem związania luźnych kół ziemianek w jedno stowarzyszenie „Zjednoczone Koło Ziemianek“, co stało się możliwe po ogłoszeniu Konstytucji w państwie rosyjskiem. Na prośbę owego Koła Ziemianek zgodziła się pani Bukowiecka na

szereg odczytów dla młodych dziewcząt ze wsi i miasta o ich dążeniach i obowiązkach.

Odczyty te ukazały się drukiem, jako dodatek do „Wieczorów“, a następnie u Gebethnera i Wolffa, jako oddzielna broszura. Jest to jedna z najpiękniejszych rzeczy z dziedziny wychowania moralnego, jaką mi się w życiu zdarzyło spotkać. Książka ta powinna stanowczo wejść do programu szkół średnich i seminarjów, jako lektura obowiązująca dla dorastających dziewcząt. Głęboka religijność bez ciasnoty, idealizm szczery i silny bez egzaltacji, wielkie poczucie życia realnego, jego warunków i potrzeb, a także zrozumienie najsubtelniejszych porywów ducha ludzkiego, cześć dla pracy umysłowej i wiedzy, kult piękna i poezji oto czynniki, któremi na młode dusze oddziaływać pragnie ta mądra i dobra wychowawczyni. Nic sztywności w tem i moralizatorstwa, każde słowo przepełnione najgorętszą miłością i przedziwnym szacunkiem dla duszy ludzkiej, miękka dłoń kobieca ujmując najważniejsze zagadnienia życia z dobrotliwą wyrozumiałością dla niedociągnięć i słabości, ale bez wahań i kompromisów. Jako cel najogólniejszy wskazuje na dążenia do szczęścia przez stwarzanie naokoło dobra i piękna, przez nieustanną pracę nad doskonaleniem swej duszy i postępem świata. Naukę swą zawarła pani Bukowiecka w czterech odczytach, z których pierwszy stanowi wstęp, następnie traktują „o obowiązkach wobec rodziny“, „obowiązkach wobec społeczeństwa“ — i „obowiązkach wobec własnej duszy“.

W ostatnim z tych odczytów mamy syntezę rozważań autorki, a także cały szereg uwag i rad praktycznych, bezpośrednio już zwróconych do młodocianych słuchaczek. „Dusza przejęta samowiedzą obowiązków swych względem wszystkich ludzi, rozprzestrzeniona na miarę potrzeb epoki, będzie duszą doskonałą; otóż, dziewczęta moje, należy Wam dążyć na te właśnie wyżyny. Doskonałość obowią-

zuje każdego, nie wolno o tem zapominać; w pożądanu doskonałości dla wszystkich leży prawdziwy postęp“.

„Bądźcie obywatelkami kraju w całym znaczeniu tego pięknego słowa, to jest uznajcie się odpowiedzialni za swoje czyny, świećcie cnotą, nieskalaną prawością, męstwem, miejcie odwagę swoich przekonań, nie wahajcie się cierpieć za nie. Stójcie na straży ideału, nie dajcie mu wygasnąć w sercach waszych rodzin. Niech bracia wasi, a kiedyś synowie nie marnieją przez brak dążeń, wybiegających poza własne dobro; złe życie i próżniactwo więcej zabierają ofiar, niż służba w społeczeństwie. Przyuczajcie myśl waszą do możliwości cierpienia, zarówno dla siebie, jak dla blizkich wam osób, hartujcie wolę waszą, abyście w godzinę próby umiały stać pod krzyżem,— i to stać, nie upadać, jak stać umiała Matka Chrystusowa.

Pielęgnujcie w sercach waszych miłość Boga, bądźcie czujne na porywy duszy, tęskniącej za źródłem wszechbytu, starajcie się przenosić myślą do stóp Krzyża i stamtąd czerpać świadomość obowiązków waszych“.

„Bądźcie przede wszystkim uczciwe. Miejcie odwagę prawdy. Jesteście wszystkie stworzone na to, aby odrodzić świat przez macierzyństwo i zaprawdę szczytne to zadanie. Ale chcąc je spełnić, trzeba kochać szlachetnie i prawdziwie, nie igrać z miłością, nie sprzedawać się za majątek, stanowisko, lub chociażby lepszy byt. Strzeżcie tem więcej czystości waszych myśli i uczuć, im bardziej pozwolono wam wnikać przez naukę w tajniki życia. Strzeżcie czystości waszych uczuć i postępów nie dlatego, że tak wypada pannie dobrze wychowanej, lecz dlatego, że czystość myśli i czynu jest znamię natury dostojnych.

Nie ubliżajcie dostojństwu prawdziwego uczucia załotnością, nie flirtujcie, ale kochajcie. Bo zapamiętać powinniście na całe życie tę wielką prawdę, że marnowanie szczęścia jest takim samym ubożeniem świata, jak marnowanie wszelkich bogactw. Cios spadły na nas z wolą

Stwórcy, dźwignąć można przez pokorę w imię pracy dla drugich, w imię dostojęństwa własnego, ale nieszczęścia, które zgotujecie sobie małodusznością, głupotą, próżnością, złamią wasze dusze—tych się więc strzeżcie, od nich brońcie się prawdą i czystością serca“.

Widzimy z tych słów najwyraźniej, że naiwnej nieświadomości nie uważa pani Bukowiecka za niewinność, że małomieszczańską, tchórzliwą trwogę przed cierpieniem—piętnuje jako grzech przeciw dostojęństwu własnej duszy, każe hartować wolę, przygotowywać się na godne zniesienie bólu nie tylko własnego, ale i swoich najbliższych, najdroższych osób. Jest to wniknięcie w głąb nauki Chrystusowej, która od wyznawców żąda odwagi i wytrzymałości, umiejętności cierpienia, a brzydzi się małoduszną ekliwością. Zarówno treść odczytów, jak ich zajmująca i pociągająca forma zrobiła duże wrażenie na słuchaczki i nadała wysoki poziom temu pierwszemu wystąpieniu Ziemianek na polu wychowawczem.

W tym samym roku wydrukowała pani Bukowiecka w „Wieczorach Rodzinnych“ pod ogólnym tytułem „nasze prawa i obowiązki“ szereg listów ciotki do siostrzenicy, oraz odpowiedzi tejże. Jest to w formie powieściowej niejako dopełnienie nauki o życiu rodzinnem i społecznem, nakreślonej w „Odczytach“. Bardzo subtelne uwagi i piękne myśli zawierają te listy o miłości i małżeństwie, zarówno z punktu widzenia szczęścia osobistego, jak służby społecznej. Dla p. Bukowieckiej dwa te pojęcia nie przeciwstawiają się sobie, ale uzupełniają tak dokładnie, że bez spełnienia obowiązków społecznych nie rozumie osobistego szczęścia dla kobiety głębszej i szlachetnej, a pełnię szczęścia widzi w miłości dwojga ludzi, oddanych całą duszą wspólnej pracy i dążeniu do wspólnych ideałów, powiedzmy jasno: pracy do odbudowania Ojczyzny—dążeniu do zdobycia dla Niej niepodległości po latach trudów całych pokoleń. Bo chwila ta, najbystrzejszym nawet polity-

kom ówczesnym nie wydawała się blizką, nawet ci, co przewidywali możliwość wojny europejskiej spodziewali się, że jej rezultat przyniesie dopiero pewne warunki, w których po długich wysiłkach zdołamy stworzyć sobie na nowo niepodległy byt państwowy.

W roku 1905 społeczeństwo polskie rozdzieliło się w stosunku do Rosji: część postanowiła poprzeć wystąpieniem rewolucyjnym — rewolucję rosyjską, wierząc, że jej zwycięstwo będzie wybawieniem Polski; znaczna część przeciwstawiła się temu programowi, nie ufając zasadniczo rewolucjonistom rosyjskim, a bojąc się własnych, z drugiej zaś strony lękając się zemsty srogiej rządu rosyjskiego wrazie przegranej, oraz ostatecznego wyniszczenia kraju. Wielkie masy, nierozbudzone jeszcze do życia politycznego i narodowego przyglądały się biernie wypadkom, ale poczynwały szybko korzystać z tej wielkiej lekcji historii i wydobywać z siebie świadome odruchy woli narodowej, czy protestu rewolucyjnego. P. Bukowiecka, stojąc na gruncie ideałów partji narodowo-demokratycznej, z której pracą związana była oddawna, śledziła z biciem serca przejawy ruchu patryotycznego wśród chłopów, jak silnie popierane przez nich żądanie języka polskiego w urzędach gminnych, jak gorące przemówienia na wiecu chłopskim w „Filharmonji“, z radością witała szybką organizację prywatnej szkoły polskiej, po bohaterskim strajku szkolnym młodzieży, zachęcała ziemianki do zakładania ochronek dla dzieci służby folwarcznej, cieszyła się, wraz z całą inteligencją polską szybkim rozrostem i sprawną działalnością licznych Kół Polskiej Macierzy Szkolnej. Te dobre początki wydawały się zadatkiem osiągnięcia politycznego znaczenia — przez wykształcenie coraz nowych zastępów uświadomionego patryotycznie ludu. Wartość tej pracy ocenił także dokładnie wróg. Zdławienie w potokach krwi rewolucji rosyjskiej i polskiej rozwiązało ręce rządowi rosyjskiemu, oraz większości rosyjskiego na-

rodu, która dążenie rządu do zgnębienia wolności szczerze poparła. Wszystkie ustępstwa przyznane Polakom w dobie rewolucyjnej zostały konsekwentnie cofnięte. W parę tygodni po walnem zgromadzeniu Macierzy w Filharmonji, na którem odbył się wspaniały przegląd polskich sił oświatowych, oraz hojnie sypanych przez społeczeństwo środków—spadło jak grom zamknięcie Macierzy. Zredukowano posłów z Królestwa Polskiego do Dumy państwowej, w Dumie zatwierdzono zamknięcie Pol. Macierzy Szk., prywatnym szkołom polskim odmówiono praw (służby wojsk. jednorocznej i wstępu na wyższe uczelnie), a natomiast dodano im straż, w osobie nauczycieli Rosjan do historii i geografji; na masowe przyjmowanie katolicyzmu po ukazie toleracyjnym—odpowiedziano projektem wyłączenia Chełmszczyzny z Królestwa i związania jej ścisłym węzłem z „prawosławną macierzą“. Te fakty podziały na wiele umysłów w sposób zdecydowany, raz na zawsze zabijając w nich wszelkie złudzenia, co do możliwości odbudowy Polski w jakiegokolwiek zależności od Rosji, czy to carskiej, konstytucyjnej, liberalnej, czy socjalistycznej. Czasy nadchodziły coraz gorsze. Po nagłym rozkwicie życia narodowego przyszła faza zniechęcenia i przygnębienia tylu ciosami, do których przyłączyły się w zaborze pruskim: ustawa o przymusowym wywłaszczaniu majątków polskich i ustawa „kagańcowa“.

Trzeba było wielkiego hartu, aby przetrwać bez upadku na duchu te ciężkie doświadczenia losu, oraz objawy słabości i słomianego zapалу we własnem społeczeństwie. Niesłychanie bolesne musiały być w tym właśnie momencie — nieporozumienia ideowe między najbliższymi towarzyszami dawnych prac politycznych i społecznych. A takiego właśnie rozdarcia nie oszczędziło życie pani Bukowieckiej. Zmęczone walką i niedostatecznie utwierdzone w oporze narodowym społeczeństwo — zaczęło już upadać pod ciężarem utrzymywania własnym kosztem prywatnej

szkoły polskiej bez praw; ludzie bardziej praktyczni i ugodowi próbowali oddawać dzieci do gimnazjów rządowych, jedynie ostry, potępiający głos młodzieży oraz ogólnie uznawany nakaz bojkotowy — wstrzymywał od masowego posyłania synów do szkoły rosyjskiej. Trzeba było, w łonie partji, wypowiedzieć się jasno w tej sprawie, bojkot silną i stanowczą agitacją umocnić, albo go znieść, cofnąć się z ostatniego szczebla, osiągniętego w czasach rewolucji. P. Zofja Bukowiecka wraz z synem i synową należeli do tego ideowego kręgu, który jaknajsilniej obstawał za wzmocnieniem bojkotu szkoły rosyjskiej. Akcja ta spotkała się jednak z przymyślanym chłodno sprzeciwem przewodników stronnictwa, którzy ją w sposób przebiegły i stanowczy utracili, dążąc zrazu nieznacznie, potem coraz wyraźniej do stworzenia nastroju, sprzyjającego ugodzie polsko-rosyjskiej, zwłaszcza na wypadek wojny. Stanowisko wobec Rosji na zjeździe słowiańskim w Pradze czeskiej, ostry kurs antyżydowski, wprowadzony do programu partji narodowo-demokratycznej, wreszcie problem współpracy społeczeństwa z rządem rosyjskim około zaprowadzenia w Królestwie „sieci szkolnej“, a w następstwie przymusowej nauki w języku rosyjskim — dostarczały stale powodów do starć ideowych i gorzkich rozpraw wśród ludzi, złączonych niejednokrotnie przyjaźnią i pracą całego życia. Rozchodziły się drogi rozumowania i działania. Gorące serce pani Bukowieckiej, miłujące nie tylko sprawę, ale i ludzi, sprawiedliwe i współczujące, przecierpiało ten okres bardzo głęboko. Rozbolała i zraniona do żywego, nie tylko koniecznością rozstania, ale brutalnością formy, w jaką namiętność polityczna zbroiła tę walkę między swoimi, siedemdziesięcioletnia matrona zamknęła w sobie żale, a tylko pewien rys smutku i goryczy przebiegał się w wyrazie ust i oczu, nawet w tym dobrotliwym, przemiłym uśmiechu, jaki miała na powitanie życzliwych w swym domu.

Przedewszystkiem zaś zarówno w chwilach najcięższych,

jak i w spokojniejszych i w promiennych nadzieją nie ustawała w pracy. W latach tych wydała znów cały szereg powieści jak: „Żołnierz Dewetta“, „Stefan Luty w Brazylii“, „Hela“, powieść dla dorastających panienek na tle wypadków z 1905 roku, „Michałek“, „Henryś Skowronek“, „Legends górnicke“, „Zalew kopalni“, bardzo umiejętnie przerobione dla młodzieży „Pamiętniki Beniowskiego“. W roku 1908 wyjeżdża pani Bukowiecka na dwa miesiące zagranicę — przez Wiedeń do Wenecji — na Lido. Jakże żywo odczuwa rozkosz oglądania bogatych skarbów kultury i wielkiej sztuki włoskiej w Wenecji, jakże raduje się pięknem Adriatyku i włoskiego morza! A wszystkie wrażenia notuje skrzętnie dla swych piskląt z „Wieczorów“, zaczynając oczywiście listy w podróży od opisu Krakowa i Wawelu. Urasta z nich spory tom p. t. „Królowa morza“. Myśl o Polsce przebija na każdej karcie włoskich wspomnień — taka to już jest ta „Jaskółka“, że nawet w ciepłych krajach ciągle ma na myśli gniazdo, ulepione pod belką chaty chłopca polskiego, pod słomianą strzechą.

VIII.

Jedną z najznakomitszych książek, pisanych dla ludu, dostępne, żywo, zrozumiale, barwnie i gorąco jest Zofji Bukowieckiej: „Mała historia Polski“, wydana u Gebethnera w Krakowie 1906 roku. Na 150-ciu stronach niewielkiego formatu zdołała autorka zmieścić najważniejsze momenty dziejowe, od zamierzchłej Słowiańszczyzny, aż do ostatnich wówczas zdarzeń z 1905 roku. Jest to książka dla dorosłych, stojących jeszcze na dość niskim stopniu rozwinięcia umysłowego, dlatego trzeba było przedewszystkiem przy pisaniu osiągnąć przejrzystość układu, dobitne objaśnienie pojęć i zawładnięcie całkowite wyobraźnią i uczuciem czytelnika. Wszystkie te cele umiała pani

Bukowiecka z wielkim talentem w budowie i treści książki uwzględnić, bardzo szczęśliwie łącząc łatwość i barwność opowiadania z wyborem tylko tych zdarzeń dziejowych, które mogły posłużyć do wzbudzenia żywej miłości ojczyzny i wydobywania nauki na przyszłość. Zarówno z błędów przeszłości, jak i z bogatego twórczego dorobku dawnych pokoleń wysnuwa autorka „Małej historii“ wskazania praktyczne dla czytelników. Dla nadania wyobrażenia o żywości i dosadności opisów, o trafności porównań, przemawiających do duszy chłopca — trzeba choć kilka wyjątków z tej książki przytoczyć: oto bitwa grunwaldzka. „Przebrała się miara złego, przebrała cierpliwość Jagiełły. Zwołał wojska dwóch krajów i ruszył przeciw Krzyżakom. Pod wsią Grunwaldem stanął do bitwy, a bitwa to była, jakiej nie pamiętają narody. Z jednej strony rycerstwo z całego świata, bogate, strojne, harde, od stóp do głów zbroją okryte, na wspaniałych koniach, które potrzasały czubami z piór i gryzły złociste wędzidła, z drugiej strony hufce polskie i litewskie pod Jagiełłą, a w pomoc im gromady chłopstwa, które biegło samo, z własnej chęci bić Niemca, mścić się nad nim swoich krzywd. Więc szli pomorscy i pruscy osadnicy z pętlami z siekierami, które połyskiwały w słońcu, szli Mazurów z oszczepem, jak na niedźwiedzie chodzili do puszczy, a inni i z maczugą, to jest dębczakiem nabitym gwoździemi.

Ustawiono ołtarz na polu, ksiądz mszę św. odprawił, król, klęcząc św. Komunię przyjął, że z Bogiem zaczynać rozprawę, a całe wojsko jednym wielkim głosem śpiewało pieśń bojową: „Boga Rodzica, Dziewica!“ Potem zagrały trąby i bębny, zafurkotały w powietrzu chorągwie, nad polskim wojskiem wzniósł się Orzeł biały, Litwini rozwinęli swoją chorągiew z Pogonią, to jest z rycerzem na koniu, bo taki był ich herb. Rycerze dosiedli koni i ujęli szable, chłopcy plunęli w dłonie i chwycili oszczepy siekiery, maczugi. „Jezus Marjo!“ rozległo się wołanie od

szeregu do szeregu, cała gromada polskich i litewskich wojsk ruszyła zgodnie na Niemców. Drżała ziemia od stąpania koni i ludzi, zwały się pierwsze pułki, rycerze polscy spuścili szable na karki krzyżackie, a chłop młócił maczugą po zbroi, żgał oszczepem, rąbał siekierą, zarzucał pętle na rude łby Niemców. Praca to była. Nie tak się, człeku, uznoisz kiedy w boru sosny zwalasz, jak tu, gdy w ten gąszcz ciał ludzkich zapchnięty, walić musisz w prawo i w lewo, żeby wynieść cały łeb z krwawej siekaniny. Pracowano od serca, co się da, płacono Niemcom za krzywdy, za oszukaństwo, za rabunki, za zdradę. Srogi to był dzień rozrachunku. Niech hańba za mord i pożogę spadnie na tych drapieżników, którzy zmusili nas rozlewać krew ludzką. Życia odbierać nikomu nie wolno, ale każdy ma prawo bronić swego. Dlaczegoż więc Niemcy nastawiali na nasze życie i mienie?”

I dalej w ten sposób idzie opis zakończenia bitwy. Już z tego wyjątku ocenić możemy plastyczność obrazu i wysoki ton moralny.

A teraz już pod koniec dziejów, jakie śliczne, jak dobrze dobrane porównanie: „Opowiadanie moje o Polsce, podzielićby można, bracia kochani, tak, jak człek pobożny, dzieli pacierze, które na różańcu odmawia. Jest w różańcu część radosna, część chwalebna, jest także i bolesna. Chwalebne i radosne dzieje naszej ojczyzny rozważaliśmy w pierwszych rozdziałach tej książeczki; teraz każdy paciorek oznacza inną, coraz sroższą boleść, że od tych okropności mdleje dusza w człowieku“.

Gorący patriotyzm, który bije z każdej karty—pozbawiony jest zupełnie wszelkich cech nienawiści i ciasnoty, przepojony całkowicie polskim idealizmem z epoki powstania styczniowego. Jedynie do „krzyżackiego gadu“ w przeszłości i do Prusaków współczesnych żywym przejętą wstrętem — udziela tego uczucia czytelnikom. 500 letnia rocznica grunwaldzka w Krakowie, tak znamienna masowym udziałem

w niej żywiołu chłopskiego, a dobitnie akcentująca wobec całego świata nasze straszne krzywdy od Niemców — i nasze świetne wspomnienia — odbiła się radosnem echem w sercu autorki „Małej historii“ dla ludu.

Z wielkim talentem również traktowane są „Obrazki dziejowe“, wydane przez Księgarnię Polską, a obliczone na poziom najmniej rozwiniętych słuchaczy. Jest to szereg opowieści, pisanych nadzwyczaj żywo i zajmująco, pełnych humoru, werwy i plastyki w ujęciu. Niektóre z nich możemy śmiało uważać za arcydzieła w swoim rodzaju. Do tych pogadanek dla kobiet wiejskich przy kądzieli wybrane zostały takie przedewszystkiem momenty, w których lud występuje, lub które mogą specjalnie wyobraźnię ludową zainteresować. Anegdota skupia uwagę słuchaczy, których następnie autorka naprowadza na rozważania moralne, szczepiąc poczucie obywatelskie i ucząc patriotyzmu. Takie powieści jak „Historja o Wojtusiu z Jabłonny i księciu Józefie“, „O Kościuszcze i rymarzu“ wreszcie obrazek z powstania Kościuszkowskiego: „Jak to hrabina głodu doznawszy, pokumała się z rzeźniczką“ to nieporównane wzory pogadanek. Prostota opowiadania łączy się tu z szczerością i mocą uczucia, trafiającą do każdego serca.

W roku 1907 ukazała się do nauki historii ojczyściej obszerniejsza książka p. t. „Jak Piastowie budowali Polskę“, a w 1909 część druga „Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza“. Obie mają co do ducha patriotycznego i obrazowości te same zalety, co książki poprzednie, ale, ponieważ przeznaczone są, czy to dla starszych dzieci, czy dla dorosłych o większem nieco przygotowaniu — musimy przykładać do nich inną miarę wymagań, zarówno co do uzgodnienia faktów z wynikami nowszych badań historycznych, jak i co do metody nauczania. Te przygotowawcze lekcje historii, tak głęboko zapadają w dusze dzieci i kształtują ich pojęcia, że bardzo trudno potem, przy poważniejszym ujęciu dziejów na podstawie krytyki histo-

rycznej, wywabić z umysłu pewnych komunałów anegdotycznej natury, pewnych rozumowań opartych na fałszywym, niezgodnem z nauką założeniu, jeżeli one wcześniej w świadomości dziecka zapanują. To też obecnie ustala się przekonanie w metodyce nauczania historii, że rozumowania i sądy należy wtedy dopiero wydobywać z uczniów, gdy można je oprzeć na informacjach dostarczonych przez źródła i pierwszorzędne opracowania naukowe. Historję anegdotyczną traktować raczej epicko, jak piękną opowieść, a nie jako materiał do dowodzeń i rozumowań. Ale szkoła Lucjana Siemieńskiego, autora „Wieczorów pod lipą“, szkoła do której należą: Zofja Bukowiecka, Teresa Jadwiga Papée, Zuzanna Morawska, hołdowała zupełnie innej zasadzie. Roztrząsanie z uczniami np. polityki książąt dzielnicowych, udzielanie władcom nagany lub pochwały przeważnie według tych samych względów uczuciowo-moralnych, jakie powodowały Kadłubkiem, wyjaśnianie pewnych zjawisk gospodarczych, czy społecznych w sposób uproszczony, a więc nieściśły, bo inaczej — na tym poziomie przedstawić rzeczy prawie niepodobna — to są stałe cechy „opowiadań Ciotki Ludmiły“ Teresy Jadwigi, „O szarej godzinie“ Morawskiej, a także Bukowieckiej Piastów i Jagiellonów. Jednakże właśnie te roztrząsania i rozumowania o złem i dobrem, o chwalebnem i nagannem w dziejach nadają książkom tego typu ich namiętą barwę, ich soczystość i obfitość, które pociągają zarówno dzieci, jak dorosłych z pół inteligencji. Wszystkim nam zresztą dały w młodzięcym wieku wiele niezapomnianych wrażeń, ale także mnóstwo pojęć, z którymi ciężką i upartą walkę musiała toczyć później umiejętna nauka historii.

W każdym razie, wśród popularnych książek historycznych swego czasu, zajmują jedno z miejsc wybitniejszych: „Jak Piastowie budowali Polskę“ i „Jak Polska urosła za Jagiellonów“.

A cóż powiedzieć o „Książce Zosi“, o tych dla wnucz-

ki pisanych prześlicznych „opowiadaniach babuni o ojczyźnie“?

Ze stanowiska nowszych pojęć metodycznych, można i tu zrobić zastrzeżenie co do przeładowania materiałem różnej wartości i zachęcania małego dziecka do zapamiętania wszystkiego. Ale przez te wymagania babcia istotnie wyrabiała pojemność i trwałość pamięci wnucząt, miała doskonałe rezultaty ze swych pogadanek historycznych i z pracowicie przerabianej nauki języków obcych. Kto wie, czy (z pewną poprawką co do wyboru treści do zapamiętania) nie wrócimy jednak do wcześniejszego niż obecnie i staranniejszego ćwiczenia pamięci u dzieci.

A ta śliczna książeczka zaczyna się tak:

„Była raz babcia, która bardzo kochała swoją wnuczkę — Zosię, a oprócz niej kochała jeszcze dużo innych dzieci. Ona kochała chyba wszystkie dzieci w Polsce — nawet i te niegrzeczne.

— Poprawią się, jak przeczytają, ilu zuchów żyło dawniej na naszej ziemi — mówiła babcia. I mówiła jeszcze, że zuch zawsze może zostać dobrym człowiekiem, jeżeli zechce, bo, kto ma w sercu takie mocne chcenie, temu Pan Bóg dopomaga.

Tak babcia mówiła do Zosi, gdy była grzeczna, pieściła ją i opowiadała jej różne ciekawe historyjki.

Raz, a było to w zimie, kiedy biegać po ogródku nie można, przyszła Zosia do babci i prosi:

— Babciu opowiedz historyjkę.

A babcia mówi:

— Dobrze, opowiem ci o tem, co było dawno, bardzo dawno temu, ale musisz słuchać uważnie, obydwoma uszkami. Będzie to właśnie taka historia, od której słuchania nawet niegrzeczne dzieci stają się dobre“.

Nadzwyczaj wyczerpująco omawia babcia te dawne, bardzo dawne czasy, gdy ludzie mieszkali w jaskiniach, a potem coraz nowe ulepszenia wprowadzali do codzien-

nego życia: rozpalenie pierwszego ogniska, wyrób garnków — narzędzia kamienne — stosunki własności, pierwotne rolnictwo, handel zamienny, rola pieniądza i wiele jeszcze kwestji, zdawałoby się trudnych do wytłomaczenia dziecku — w tych rozmowach z Zosią udało się babuni doskonale przedstawić i objaśnić. Zajęła pół książeczki temi opowiadaniem z prahistorji. I słusznie. Te rzeczy interesują niesłychanie zupełnie małe dzieci i po właściwem przepracowaniu w pogadance są naogół zupełnie dla nich dostępne. A naprawdę dopiero na takim przygotowaniu przez kilka miesięcy, budować można w umyśle dziecka jakie takie pojęcia o rozwoju całego życia, od owych bardzo dawnych czasów, — aż do naszych i pokusić się o wyrabianie poczucia i zmysłu historycznego. Jedną rzecz kardynalną wiedziała babcia i dlatego dobrze uczyła małe dzieci, że nie należy się spieszyć, że można wiele razy opowiadać tę samą bajeczkę o dziadusiach, ale nie trzeba dawać skrótów — przebiegać w jednym roku od stworzenia świata aż do Sobieskiego pod Wiedniem, charakteryzować dalekich epok jednym przelotnem opowiadaniem i pędzić dalej siedmiomilowemi butami całych stuleci. Jeżeli w ten sposób się będzie uczyło dzieci od lat 7-miu do 12-tu, to się napewno nie otrzyma żadnych rezultatów. Przypuszczam, że to wkrótce praktyka szkoły powszechnej w jaskrawy sposób wykaże na obecnie obowiązujących programach historji. Gdyby w dalszym ciągu „książki Zosi“ opowiadania o książętach i królach nie były zanadto przeciążone całym materiałem anegdotycznym, jaki posiadamy i dużą ilością nazwisk — to sposób ten, w jaki prowadzone są pogadanki wstępne o pradziadusiach, zdradza bardzo wybitną znajomość potrzeb i umysłowości dziecka. Przerabianie i dokładne, powolne, wyjaśnianie pojęć moralnych na przykładach z życia — dostępne i zajmująco, to bardzo ważne zalety tego nauczania.

Na jesieni 1910 roku nowy grom uderzył w szczęście

rodzinnego ogniska, umarła synowa pani Bukowieckiej, a równocześnie pięcioletnia Zosia rozchorowała się na szkarlatynę tak ciężką, że przez kilka tygodni życie dziecka było zagrożone. Trwało to całą zimą, bo przyszła recydywa — niesłychanie w tej chorobie rzadka. Ile trudu, ile dokładności, ile sił fizycznych i duchowych wymagało pielęgnowanie ukochanego dziecka, którego ratunek od tej właśnie pieczy zależał! Znowu bohaterska odwaga, ufnosć w Bogu i praca przechodząca wprost siły, stargane życiem. Przez długie, pełne niepokoju i nieutulonego żalu miesiące oczekiwanie cudu, aby wyrwać śmierci tę najdroższą w świecie istotę, która mogła z życiem pogodzić i od rozpaczyci ocalić swego ojca. Wreszcie Zosia szczęśliwie przyszła do zdrowia i zaczęło się jej wychowywanie. Zadanie nowe, babcia dotąd nie wychowywała nigdy dziewcząt, trzeba było utworzyć cały program i wykonywać go w najtrudniejszych warunkach, bo z dzieckiem delikatnem i rozdelikacjonem przez chorobę. Trzeba było babki i matki przysłać, aby się przypatrzyły, co to jest właściwie wychowanie, jak można dziecko kochać i pieścić, a jednocześnie utrzymywać w rygorze moralnym, zaprawiać do pracy i porządku, do obowiązkowości i punktualności w sposób niezachwiany. Dzięki tej mocy charakteru babki, Zosia musiała i zajęcia umysłowe i robótki ręczne i drobne usługi domowe, czy gospodarcze spełniać od lat najmłodszych jak dziecko zdrowe, nie miała owej atmosfery moralnej, która otacza cieplarniane roślinki, choć wiele zabiegliwości o racjonalną higienę musiała włożyć pani Bukowiecka w jej hodowanie. Stworzyła u siebie dla wnuczki wzorowy komplet, dobierając bardzo starannie i dzieci i siły nauczycielskie. Pracowitość jej i umiejętność rozłożenia pracy była poprostu zdumiewająca. Prowadziła całe gospodarstwo domowe i rachunkowość, wiele czasu poświęcała synowi, jego lektorka i sekretarka w bliższych i ważniejszych sprawach, do ostatnich lat życia pi-

sywała dużo, przerabiając książki swe w nowych wydaniach i robiąc ich korektę, miała czas jeszcze na rozległą korespondencję rodzinną, wreszcie na delikatne roboty kobiece, hafty na białym batyście. Ręce jej nie spoczywały nigdy—i umysł pracował ustawicznie. Roboty lubiła ogromnie, znajdując w nich zarówno zaspokojenie swych artystycznych upodobań, jak i przedziwne ukojenie dla nerwów. Ubolewała nieraz nad tem, że młodsze pokolenie kobiet niema już tego zamiłowania naszych prababek do robót ręcznych, które mogą być w życiu źródłem prawdziwej radości twórczej.

Na drugiej „Książce Zosi“ zatrzymała się babunia, ponieważ warunki cenzury przed wojną, choć już daleko lżejsze od roku 1905-go, nie pozwalały na swobodne opowiadania o prześladowaniach patriotów w czasach porobiorowych. Można było wydać taką książkę w Krakowie, ale nie dotarłaby do wszystkich tych dzieci, dla których była przeznaczona. Natomiast w Krakowie właśnie, wyszła w 1910 roku piękna broszura Bukowieckiej „O prześladowaniu unitów“, pisana bardzo gorąco, a naogół mało znana. Drugie jej wydanie obecnie byłoby bardzo pożądane.

IX.

Lato 1914 r. spędzała pani Bukowiecka z synem i wnuczką w Skolimowie. Tam zaskoczyła ich wojna i tam przebyli pierwsze wstrząśnienia, jakimi wypadki szybko po sobie następujące szarpały serce, sumienie i nerwy każdego Polaka. Miałam sposobność, bardzo wtedy blisko i wspólnie z Nią, przeżywać okropne czasy rozdarcia wewnętrznego wobec grożących ze wszech stron katastrof, niepewności wszelkich wyrachowań i przypuszczeń, oraz możliwości zmarnowania tej jedynej w dziejach w chwili, bez należytych dla Polski korzyści. Dziś, po nadzwyczaj pomyślnym

dla nas rozwoju zdarzeń wojennych, po ostatecznym upadku wszystkich wrogów i odzyskaniu zjednoczonej i niepodległej ojczyzny—zapomnieliśmy niesłychanie szybko o tych nieludzkich męczarniach, jakie musiały znieść wszystkie umysły głębiej sięgające w przyszłość — podczas owych zmagañ idei, przekonañ i przewidywañ na początku wojny.

Szczególniej przykre dla natur wrażliwszych było nieporozumienie wzajemne i bezwzględne potępienie się ludzi o przeciwnej orientacji politycznej, dochodzące nieraz do zawistnej i niesprawiedliwej zaciętości. Pani Bukowiecka wpośród licznej rodziny i rozległego koła serdecznych przyjaciół, miała ludzi o zupełnie przeciwnych przekonaniach; wszystkich umiała wysłuchać z dobrą wolą i dobrą wiarą, oceniając w każdym przedewszystkiem uczciwość i szlachetność wewnętrznych pobudek. Umiała zdania własnego bronić z jasnością i prostotą, ale do cudzych odnosiła się zasadniczo z szacunkiem i szczerą chęcią zrozumienia życzliwie odmiennych zapatrywañ. Nie pozwoliła nigdy w swojej obecności rzucać gołosłownych oskarżeń, lub krzywdzących podejrzeń na przeciwników politycznych, toteż wśród rozbudzonych namiętności, które wybuchały nieraz gwałtownie i jaskrawo, nawet w stosunkach towarzyskich, dom Jej stanowił, jak gdyby bezpieczną przystań, do której zawiść i oszczerstwo nie dochodziły. Od października 1914 r. stale przebywając w Warszawie śledziła p. Bukowiecka z najgorętszem zainteresowaniem rozwój wypadków—nie wychodząc prawie z domu z powodu słabego zdrowia—miała jednak przez syna, rodzinę i blizkich przyjaciół Kontakt niezmiernie ścisły z życiem politycznem, oraz informacje dużo lepsze, niż te, które bałamutnie krążyły w różnych środowiskach społecznych, lub oficjalnie publikowane były przez prasę. Jako jedno z najdroższych wspomnień osobistych z tych czasów, przechowuję chwile, gdy rozgoryczona powodzią plotkarstwa, przerażającym brakiem krytycyzmu i pogłębienia, prowincjonalną naiwność-

cią rozumowań polityczno-wojennych w sercu Polski, w kołach inteligencji warszawskiej — uciekałam do pani Bukowieckiej, sędziwej przyjaciółki, mądrej i wiedzącej. Mawiała stale skromnie, że nie zna się na polityce. W rzeczywistości jednak miała niesłychanie przenikliwą intuicję polityczną, opartą na czułym sumieniu i na instynkcie nieomylnym. Prawdziwa mądrość, którą w niej podziwiałam, ilekroć mówiła o sprawach Ojczyzny, wynikała z serca. Czyż bowiem sprawiedliwość sądów i umiłowanie ludzi nie przyczynia się do wytworzenia szerszego horyzontu w sprawach politycznych i zdobycia poglądu niezamąconego zawiścią, uprzedzeniem i antypatją osobistą!

Dowodem wielkiej sprężystości i żywotności umysłu w tym wieku jest dalej fakt, że pani Bukowiecka od wybuchu wojny do listopada 1916 r. przeżyła znaczną ewolucję, idąc za rozwojem wypadków. Jak to wynika z wszystkich jej prac historycznych, uważała zawsze Niemców za najgroźniejszego z zaborców i najniebezpieczniejszego z sąsiadów. Toteż w pierwszych latach wojny, pomimo, iż całym sercem odczuwała powstańczą tradycję w wystąpieniu Legjonów i tęskniła do ujrzenia na własne oczy tego wojska polskiego, w którym miała kilku siostrzeńców i wnuków — politycznie raczej ciążyła do Zachodu, przywiązując dużą wagę do wpływów jakie Polacy potrafią zdobyć — poza plecami Rosji — u Koalicji. Dopóki Rosja miała poważne znaczenie dla mocarstw zachodnich — oczywiście wpływy polskie bardzo trudno docierały do sfer decydujących, tak samo jednak polityka polska, opierająca się o Austrię przynosiła same zawody i rozgoryczenie. Pierwszy rok okupacji austriackiej i niemieckiej szczególnie przyczynił się do wzmocnienia popularności obozu pasywistów przez prosty fakt ustąpienia Rosjan, a dokuczliwości nowych zaborców. Jednakże niebawem stanęło przed społeczeństwem poważne zagadnienie, czy przyjąć ogłoszenie niepodległości Królestwa polskiego przez państwa

centralne za najdonioślejszy etap w rozwoju kwestji polskiej od początku wojny i — cokolwiek dalej się stanie — zacząć własnymi rękami budowę państwa polskiego wśród najgorszych warunków — czy konsekwentnie bojkotować Niemców — z nadzieją zwróconą ku zwycięstwu koalicji. Pani Bukowiecka wówczas zajęła zupełnie wyraźnie stanowisko aktywistyczne, utrzymując, że im głębszą ma się wiarę w ostateczne rozgromienie Prusactwa, tem bardziej wskazane jest budowanie fundamentów własnej państwowości podczas okupacji i korzystanie z każdej chwili, aby pozornie ogłoszoną nam niepodległość wypracować własnym trudem, własną pracą zdobyć. Rezultatem takich przekonań matki i syna, było wstąpienie pana Bukowieckiego do Tymczasowej Rady Stanu — a następnie przejęcie przez niego, we wrześniu 1917 r. sądownictwa z rąk okupantów i zorganizowanie polskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, pierwszego od czasu upadku rewolucji listopadowej.

Zadanie ogromnej doniosłości politycznej, a bardzo trudne do wykonania w ówczesnych warunkach, przy braku ludzi, przy nieżyczliwym stanowisku znacznego odłamu społeczeństwa i konieczności politykowania z okupantami. Pani Bukowiecka uważała ten ciężki i zaszczytny obowiązek za wielką rzecz w życiu syna i własnem, ale zarazem za ofiarę ze spokoju wewnętrznego. Trzeba było przyjąć na siebie odpowiedzialność bardzo poważną i przygotować się na ataki przeciwników. W chwili decydowania się na podjęcie tego zadania trudno też było przewidzieć jak długo potrwa wojna i uciążliwe współżycie z okupantami. Wszystko to niemałą trwogą przenikało serce matki, a jednak umiała tak opanować nerwy, z takim męstwem i stanowczością ogarnąć sytuację, że w każdej chwili dawała raczej oparcie, aniżeli przyczyniała niepokoju i wątpliwości, przez macierzyńską troskliwość, co tylekroć bywa udziałem najlepszych, najbardziej kochających matek.

Taki stosunek do obowiązku obywatelskiego był u Niej

wynikiem wielkiej kultury woli i świadomie wyrobionej dyscypliny moralnej, której rezultaty można było podziwiać także w innych dziedzinach jej postępowania, przede wszystkim w metodach, stosowanych do wychowywania wnuczki, a źródłem i podstawą tej pracy duchowej, w której nie ustawała do końca życia, było głębokie przekonanie, że drogą doskonalenia wewnętrznego buduje się Królestwo Boże na ziemi — i wolną Ojczyznę. „Musimy Zosiu — mówić w ostatniej książeczce — stać się doskonałymi, bo naród doskonały nie ginie, lecz przeciwnie zdobywa sobie prawa do coraz dostojniejszego i pełniejszego życia“. W przepiękny sposób tłumaczy wnuczce czym jest tradycja, do czego nas zobowiązuje „obyczaj i serce polskie“, według starego przysłowia „Gość dom—Bóg w dom“.

„Alboż każdy z nas nie ma w sobie cząstki Ducha Bożego? Ma Zosiu, masz go i Ty, a ja tę cząstkę, tę iskierkę pragnę rozdmuchać w wielkie ognisko. Stworzeni na podobieństwo Boga, który jest samą miłością, kochajmy naszych braci bliźnich. Gość twój—zarówno uczony, jak prostaczek wnosi z sobą również cząstkę Bożego Ducha, nie zbądź więc wchodzącego czczą rozmową, staraj go się przyjąć ciepłym sercem, wesprzeć dobrą radą, a zwłaszcza ożywić nadzieją lepszej przyszłości dla Ojczyzny. Anglik, czy Włoch są ludźmi szczęśliwymi, bo należą do narodów wolnych, więc mają oni wiele radosnych spraw, które opowiadają swym gościom. Mówią np. o królu, o dobrej królowej, o tem, kto będzie ministrem, a kto wodzem armji, albo marszałkiem sejmu. W Polsce inaczej.“

Część trzecia „Opowiadań Babuni o Ojczyźnie,“ przygotowana jeszcze za panowania rosyjskiego i podczas okupacji ukazała się u Arcta w Warszawie w 1917 r. Jakże blizkim był już czas, kiedy i mała Zosia gości swego polskiego domu będzie mogła przyjmować rozmowę o tem „kto będzie ministrem, a kto wodzem armji, lub marszałkiem sejmu“. A jednak, unikając natrącania o politykę współczesną przed

ukończeniem wielkiej gry wszechświatowej — Babunia milczy — nie wnucze o przejściowych nie mówiąc zmianach. Bogu jedynie porucza sąd nad wiekami, a jako warunki zmartwychwstania, wysuwa pracę nad „poprawą duszy narodu“, oraz ufność w sprawiedliwość Bożą. Z czasów okupacji dwa zwłaszcza momenty wstrząsnęły sercem Zofji Bukowieckiej, łącząc wspomnienie 63 roku — z żywą terażniejszością. To — zaraz po ucieczce Moskali z Warszawy — postawienie pomnika na grobie 5-ciu poległych — i 1-go grudnia 1916 roku — wkroczenie Legjonów Polskich do Warszawy. W akcie pietyzmu, wobec drogiej dla całego narodu mogiły — objawiła się cała jej kobieca natura — pierwiastek bohaterstwa i czulej troskliwości zarazem. W chwili, gdy wielu jeszcze tak małodusznie liczyło na powrót północnego wroga — pomyślało czujne kobiece serce o położeniu kamienia protestu.

Widok wojska polskiego w pełnym świetle glorii na ulicach stolicy wywołał w Jej sercu wybuch młodzieńczego entuzjazmu i uczucia nieopisanego szczęścia.

Wśród ciężkich jeszcze chmur na horyzoncie — był to przeblysłk świtu, olśniewający przeczuciem niedalekiej promiennej przyszłości. Żywe ucieleśnienie pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Pogrom Niemców w jesieni 1918 roku i odzyskanie wolnej Ojczyzny — zastaje wielką patriotkę w pełni sił duchowych, szczęśliwą — ponad wszelką możność wysłowienia.

Pod wpływem wielkiego uniesienia pisze w 74 roku życia swój hymn radości i dziękczynienia: „Wielbij duszo moja Pana“ — przepiękną dla dzieci polskich pamiątkę wielkich dni przebudzenia. Jest to — formalnie, drugie wydanie „Książki Zosi“ — ale jakże zgoła odmienne — nową znaczące epokę! Zginął już niepowrotnie ów ton zadumy, bólu i niedopowiedzianych, dalekich pragnień — wszystko tu drga energią czynu, pełnią życia, dumą narodową i god-

nością wyzwolenia, poczuciem najgłębszym spełniającego się w oczach cudu.

„Opowiadanie Babuni o Ojczyźnie“ wiąże się w każdym momencie z tem, co najmłodsze pokolenie w dniu dzisiejszym do dziejów tych z własnego trudu—z własnej duszy dokłada.

Zosia pewnego poranku wpada do Babuni rozpromieniona, bez tchu prawie — i ona to dziś opowiada o Ojczyźnie, o tej, która się rodzi—tam na ulicach miasta—i w całym kraju. „Niemcy uciekają, oddają broń — nasi chłopcy — skauci — trzymają wartę — jest wojsko polskie — zabiera karabiny, magazyny“.

I tak codzień — co dni kilka, nowe wielkie „wydarzenia“. Telefon od Tatusia, raz poraz, przynosi pełne wagi doniesienia. Ulica żyje, wszystko bierze udział w wspólnej gorączkowej pracy tworzenia życia narodowego. Piłsudski wraca z Magdeburga — Rada Regencyjna składa władzę w jego ręce. W całej Europie z wieściami o pokoju sprzęga się wieść o niepodległości Polski. „Książka Zosi“ żywą teraźniejszość splata z przeszłością. Jakże te lekcje o Obronie Częstochowy i o Zbarażu bliskie są dzieciom, które równocześnie żyją wieściami z obłązonego Lwowa — jakże tym chłopcom, wyrwanym z murów szkolnych i uniwersyteckich błogostawić zdają się dawne, rycerskie postacie wielkich przodków w ich walce o Wilno, o cywilizację zachodnią, o przedmurze chrześcijaństwa.

Nigdy, żadna Babunia piękniejszej bajki nie opowiadała wnukom. „A to wszystko — moje dzieci — najprawdziwsza w świecie prawda“.

Żywot i dzieła Zofji Bukowieckiej pięknie koronuje ta jej ostatnia praca, pisana w zachwyceniu, przeniknięta nawskroś poczuciem Bożego działania w dziejach świata.

Gdy tak ziściła się najgłębsza tęsknota całego Jej życia—duch, ciągle dążący wzwyż—choć najbliższymi umiłowaniami z ziemią związany—coraz częściej unosił się w tę

sferę, która daje przeczucie wieczności. W „Książce Zosi“ mamy wyraźne ślady tego nastroju, tęsknoty do nowego życia, pragnienia—po wielkiej przemianie—oglądania Boga.

Ta sama filozofja, która uczy kochać życie i przyjmować je jako dar bezcenny — naucza także kochać i przyjmować śmierć. Dnia 20 marca 1920 roku zgasła Zofja Bukowiecka w 76 r. życia, zostawiając nieśmiertelne wartości wychowawcze, złożone zarówno w bogatej spuściźnie piśmiennej, jak i w żywej twórczości żywota, w tym wpływie, jaki wywarła na pokolenie nasze i naszych dzieci.

Obok Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, Narcyzy Żmichowskiej, Elizy Orzeszkowej mamy w Zofji z Konarskich Bukowieckiej postać wielkiej wychowawczyni narodu, skromniejszą od nich talentem, ale równą duchem.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego dała ją za patronkę Państwowemu Seminarjum Nauczycielskiemu Żeńskiemu w Płocku. Powstają drużyny harcerskie Jej imienia. Zawiązało się Koło Polskiej Macierzy Szkolnej im. Zofji Bukowieckiej, które ma za zadanie wydawanie broszur i krzewienie pracy oświatowej w duchu ideałów, jakim Ona służyła.

Gdy coraz nowe pokolenia wychowanek Seminarjum im. Zofji Bukowieckiej pójda między lud, aby działać w myśl swej szlachetnej patronki, przejęte do głębi przykazaniem miłości i sprawiedliwości, jakie zostawiła, oraz jej nauką o „poprawie duszy narodu“, rozszerzy się, da Bóg, nieskończenie krąg Jej wpływu, a wiecznie obecny duch Tej, która odeszła, lecz żyje nieśmiertelnie, wesprze siły, wzmocni je i rozwinie — radosny biorąc współudział w żywym, twórczym dziele, ku najwyższej chwale Bożej.

Nr 

 Poz. ks. inw. 316

